

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 6 stycznia 1946 r.

Nr. 1 (29)

JAN ALEKSANDER KRÓL

„Oda do młodości”

Kształcącej się w szkołach średnich młodzieży wiejskiej znana jest Mickiewiczowska „Oda do młodości”. Ale również — nie rzadko — zna już ją młodzież ze szkoły powszechnej, z świetlic i Kół, jeśli nawet nie w pełnym tekście to przynajmniej z fragmentów, z tych o najsilniej brzmiącym hasle: „młodości ty nad poziomy wylatuj — w szczęściu wszystkich są wszystkich cele! — dalej bryło z posad świata! Nowemi cię pchniemy tory...”

Mickiewicz nie był pedagogiem w takim znaczeniu, jak był nim np. Pestalozzi albo Herbart. Jego „Oda” wyraża nie życzenia wychowawcy ale dążenia samej młodzieży. 120 lat temu była ona wybuchem buntu oświeconej młodzieży szlacheckiej przeciw systemowi feudalnemu. Majątek spoczywający nadal bez udziału młodych w ręku rodziców, oraz zmniejszony niewola krąg urzędów i godności publicznych z jednej strony — a z drugiej, z 3-majowego dekretu pochodząca unowocześniona edukacja narodowa postawiły młodzież w tragicznym położeniu: mając wiedzę była bez pola do działania! A przecież ta młodzież w dzieciństwie oglądała orły napoleońskie, wzrosła w dreszczach i echem rewolucji francuskiej, gdzie nowi ludzie z niższych stanów sięgnęli po władzę, gdzie młodzież dowodziła w wojnach, a ustanawiała nowy ład w państwie, gdzie możliwości awansu społecznego i wielkiej do odegrania roli zdawały się leżeć na ulicy.

Ten młodzieńczy wiersz wielkiego poety nie tylko jest zmiennym dokumentem dla historii, w nie mniejszym stopniu stanowi klasyczny wykres „gorączki” młodości dla psychologa i bardzo autorytatywny argument w ręku współczesnego postępowego pedagoga.

Psycholog z okazji tej „Ody” mógłby dać popularny wykład o cechach psychicznych młodości: skłonność do wzniosłości, zapalność, popęd do gromadzkości, energia najbujniej pracą do wyrazu, naiwność i pewność siebie, stać skłonność do dużych wysiłków, gotowość do heroizmu, żądza przygód, zmian i nowości.

Pedagog skolei ilustrowałby tym wierszem zasady nowej myśli wychowawczej. Wyliczyłby więc co najmniej trzy tezy. 1) Jeżeli wartość kultury narodu mierzymy bogactwem twórczych osiągnięć przeto protestuję przeciw wychowaniu, które ma za zadanie przystosować jednostkę do niezmiennego środowiska społecznego — sprzeciwia się to bowiem rozwojowi kultury, a równocześnie nie chroni przed uschnięciem tej, jaka już została wytworzona.

2) Demokracja przez upowszechnienie wiedzy i ze względu na jej doniosłe kulturalne treści, rozszerzyła w ten sposób dostęp do ważnego udziału w życiu społecznym nie tylko niższym warstwom, ale również młodemu pokoleniu każdej klasy. Dlatego dziś nie można sobie wyobrazić społeczeństwa bez młodości!

3) W szczególności przed młodzieżą z warstw najbardziej dotąd społecznie upośledzonych staje obecnie zadanie otwarcia zamkniętych szczególnie w przeszłości kultur ludowych i robotniczo-małomiasteczkowych. Kultury te atakowane z zewnątrz przez postęp cywilizacji nie tylko własnego narodu, ale Europy i świata, przeciwstawiają mu systemy z innych — wcześniejszych historycznie epok.

I dlatego przy tej postawie konserwatywnej grozi im ruina jak w nierównej wojnie, a nie rozwój, który idzie w parze z wyrównaniem współczesnym wymogom i z twórczym ich prześcignięciem.

W LATACH MIĘDZYWOJENNYCH...

W latach Polski międzywojennej życie społeczne wsi kształtowało się już w dwu nurtach: staro-chłopskim i młodzieżowym.

Powtórzyły się w naszej wsi pewne po-

dobieństwa do warunków, w jakich kiedyś powstała „Oda do młodości”. Miał przecież miejsce w pierwszych dniach niepodległości zmarnowany wstrząs społeczny: Lubelski Rząd Ludowy! Nadzieja na reformę rolną, o którą zjadale walczyli chłopci do 24 r. Była więc: podniecająca tradycja i legitymacja narodowa, była w osobie premiera — Witosa zbudzona ambicja klasowa. Był już i duży postęp w szkolnictwie powszechnym, ale równocześnie coraz silniejszemu i sprawniejszemu stłumieniu poddany został emancypacyjny ruch warstwy chłopskiej. Odsłoniła się bezradność starego pokolenia! Nędza, ciemnota, 8 milionów ukrytych bezrobotnych. Tragedia młodzieży. Jej postępowe próby — i przeciw temu patriarchat staro-chłopski. Ojciec-właściciel „gruntu”, ojciec-mistrz w sztuce rolniczej (o 20 lat dłużej ora!) Jak dojść do porozumienia z tym autorytetem gromadzkim? Jak rozszerzyć pole działania, jak wzmoczyć rolę społecznej młodego pokolenia?

Czy powstała w tak napiętej sytuacji chłopska „Oda do młodości”? Czy podjął ktoś próbę wyrażenia dążeń młodzieży wiejskiej tych lat, tego pokolenia?

Można tu mówić o trzech autorach:

O Niećce, Solarzu i Miłkowskim.

Najstarszym kierownikiem ruchu młodzieżowego i jego ideologiem był niewątpliwie Józef Niećko. W tym układzie Solarz szkolił dla ruchu przodowników, a Miłkowski dał gospodarczy program w ramach wcześniej już zarysowanej przez Niećkę koncepcji ludowości.

CHŁOPSKI RUSSO

Józef Niećko należy do tego typu przodowników, w których działalność społeczna wybuchła — w ich własnym mniemaniu — pod wpływem objawienia.

Byłby to zatem ten sam ciąg życiorysów, jaki za wzór podaje kościół w świętych, lud w samozwańczych „prorokach” i stygmatykach, a hordy w opatrnościowych wodzach.

Niećko — jak sam o sobie pisze — regularnej szkoły ma za sobą trzy zimy. Do 20-go roku rozbudzenia intelektualnego i społecznego nie odczuwał. Pracował w lesie, jako tracz.

JAN BOLESŁAW OZÓG

Robotnicy

Wyżej nas podsadz ugiętym grzbietem,
Atlasie, co dźwigasz naszą ojczystą ziemię.
Fale Bałtyku u pięty ci drzemią,
ale nie drzemią nasze pięty.

Wali z rumorem tłum w pochodzie szarym,
„Nasi wracają!” — o pola weselne! —
Dziś każda bruzda wstęga sztandaru
i bliżej do Niej: do plugów i kielni.

Głośnień nad hymny ze śląskiej huty
w czerwone serce dzień nam pieje.
Idziemy! Idziemy! Zbudzone huty
bębnią nam marszu trocheje.

Nim dłoń się z dłonią bohatera złączy,
usłysz nas, twoich z daleka tragarzy,
święta ojczyzno, cokolwiek się zdarzy,
olejem nas namaść, co się z czoła sączy.

„Iskra piorunowa” przeszył go dopiero nastroj w lesie nad stawem, gdzie wypoczywał ranny po pewnej bijatyce weselnej.

„Nieprzeliczone mnóstwo wodnego ptactwa głośliło swą radość i zadowolenie ze słońca dźwigającego się ku górze. Staw zaś drżał, jakby kipiał tymi głosami... wówczas zacząłem odczuwać słońce i piękno przyrody — i w przyrodzie zaczynałem poszukiwania samego siebie”.

W tym przeżyciu jeszcze po latach widział „hodźce, które spowodowały pragnienie przemian w życiu młodzieży”. Siebie bowiem uważa za jednostkę, poprzez którą „ujawnia się nurt pokoleniowy”.

Ów przypadek spowodował, że zaczął „czytać łapczywie Zorzę”, potem wszedł w ruch Drużynowy, a wreszcie znajdujemy go na stanowisku kierownika Związku Młodzieży Wiejskiej i jej głównego ideologa.

Czy treść przeżycia z owego wydarzenia miałaby być typową dla pokolenia Niećki, albo dla młodszej generacji? (Niećko ma dziś chyba co najmniej 50 lat!)

Ołóż trudno nie zauważyć, że Niećko bliższą była praca w lesie, niż w polu. Dlatego mówiąc o kulturze ludowej, zawsze uzupełnia „ludu leśno-rolnego”. Niećko cofa tradycję chłopską do okresu myśliwsko-leśnego. Uderzające, że jego przeżycie przyrody jest akurat typowo nie chłopskie, jest estetyczno-pańskie lub „mystyczne”-barbarzyńskie, w każdym bądź razie wolne od tego układu z ziemią i pracą, w jakim obraca się chłop-rolnik.

Ten związek z przyrodą, charakterystyczny dla „luzaka” chłopskiego, cygana i wyszereńca spokrewnia go bardzo z człowiekiem, który przeszło sto lat przed nim pierwszy rzucił hasło „powrotu do natury” i miał nawet nie bardzo inny życiorys. Nazywał się Jan Jakób Rousseau. Dał on początek przez cały 19-ty w. snującemu się wątkowi sentymentalnej tęsknoty mieszcuchów „za łonem natury”, do którego przytulała się podczas wycieczek.

I Niećko i Rousseau żyli w sensie odpowiedzialności społecznej do 20-go roku życia bez troski. Obaj podobnie zmysłowo odczuwali

przyrodę, tworząc mit „jej ducha”. Uczuciowość, poetycka marzycielskość unosi się nad nimi. Dla Rousseau’a — wiadomo — przyroda była ucieczką przed odpychającą powszedniością życia. Zbliżenie do niej miało coś z gestu wyminięcia trudności i obowiązków życia. Ale był też to wykojenienie.

SŁOWIAŃSZCZYNA

Przypomnijmy sobie, do czego wzywał Mickiewicz:

„Dalej bryło z posad świata,

Nowemi cię pchniemy tory”.

Niećko wskazał młodzieży wiejskiej — przyrodę. Na czym tu miała polegać nowość? Niećko pisze: „Mam na myśli wieczną tęsknotę ducha człowieka do harmonii i rytmu życia z duchem praw przyrody — innymi słowy, tak zwany „mystycyzm”.

Ale w zgodzie z prawami przyrody jest również cała nasza ludzka olbrzymia wiedza przyrodnicza. Tylko, że dzieje tej wiedzy pokazują, iż praw natury jest grubo więcej, niż przeczuwał człowiek pierwotny, a i dziś jeszcze przeciętny obywatel. Człowiek pierwotny był ślepa igraszką tych praw i sam stanowił w ogniu sił przyrody jedną z mniej poważnych pozycji, stanowczo mniejszą niż burza, o której Niećko wspomina, że „żywiłowo zaczął się w niej lubować”.

Niećko nie chce panować nad przyrodą po za człowiekiem i w nim samym. Upaja go poddawczy wobec niej stosunek. Upaja jej niepojętość. Tej niepojętości nie wolno naruszyć!

Dlatego przez mistycyzm rozumie Niećko „pęd wewnętrzny do uczuwania się za jednością z duchem przyrody”. Uważa, że w swoich dziejach „chłop czuł się raczej jednym z ogniw długiego łańcucha przejawów przyrody”. O jakąż mu zatem idzie przyrodę? O leśno-pólną! O tę, która się zamyka w pojeciach: klimatu, flory, fauny i pogody. Jakiego trzeba przygotowania, aby móc się „z nią uczuwać za jedno”? Według Niećki stanowczo mniej, niż ma współczesny chłop. Należałoby się tego balastu pozbyć i cofnąć do tej rajskiej odpowiedniości, jaką miał... Słowianin.

„Nawrót do ziemi — do przyrody i jej praw — do świętości chleba bezkrwawego — do tego zdolna może być tylko Słowiańszczyzna”.

Młodzież wiejska winna więc wleźć spowrotem w „korzenie” dziejów swej warstwy. Niećko głosi odwrót w przeszłość legendarną, jako zadanie pokolenia. Rzeczywiście, coraz mistyczniej brzmi jego wieszczanie.

„Przyjść muszą nowe ludy, nowi Ariowie z nowym słowem i na tym cmentarzysku rozpocząć nowe dzieło tworzenia”, a polegać o no będzie „na żywym i bezpośrednim stosunku powszechności wiejskiej do ziemi i słońca, na poczuciu wewnętrznej harmonii tworzenia łącznie z ziemią i słońcem”.

NIEBEZPIECZNY ESTETYZM

Trudno wreszcie nie zapytać — czyżże to właściwie jest program? Więc po pierwsze — głosić jego jest samouk-dyletant, który wytrzaśa własne koncepcje z zakresu filozofii historii jak z rękawa. W jednym referacie przesuwają przed oszołomionymi słuchaczami ducha dziejów całej ludzkości. Koniec końców pozostaje estetyczne oczarowanie.

Po drugie — ten ideolog potrafi na przestrzeni dwóch stron załatwić się ze wszystkim — z kapitalizmem: to intelekt i materializm, z chrześcijaństwem — to cmentarzysko, z humanitaryzmem — to wykwit kulturalnego intelektu, z demokracją: — to aparat do samo-

(Ciąg dalszy na str. 2-iej)

„Oda do młodości”

(Dokończenie ze str. 1-iej)

biczowania się mas, z komunizmem: — to nowy strychulec czucia człowieczego.

Czyż to mogą być: taka lekkość i wdzięk? Napewno nie filozofa, uczonego czy trzeźwego polityka. Tak mówi poeta i mistyk, to jest człowiek poruszony marzeniem i niewiedzeniem, ale nie wiedzą.

I kiedy z tego stanowiska ogarniemy „Ode do młodości” Niecki, wówczas i mistycyzm jego stanie się dla nas jaśniejszy.

Niecko jest urzeczony swoją sprzed lat, z nad stawu — ekstazą. W ideologicznych szkicach pisanych impresyjnie, jak pamiętnik wrznięty z sensu z nieuchwytnym, maniackalnie wraca do obrazu jednej sceny.

— Jest tu słońce i jakieś przejmujące spożycie zbiorowe z nim i ziemią. Temu światu brak struktury, szczegółów i życia codziennego. Jest tylko odświętny obrzęd — jakiś pogański, pradawny, pierwotny. Niecko jak kapłan chciałby tylko na te obrzędy wychodzić i popadać w ekstazę, jak nałogowiec.

W rezultacie więc odwołuje się do „starej słowiańszczyzny — dlatego, że „wykształtowała sobie dla tych celów różnorodne formy... W naszym ruchu młodzieży wiejskiej przejawia się to wszystko w Świętach Wiosny — świętach żniwnych podniosłych, obejmujących młodych i starych z całej wsi”.

No tak, to jest program, ale program zabawy, zabawy estetycznej, może nawet mszy mistycznej, ale nie ponadto.

Znowu przypomina się Russo. W ogólnej koncepcji russowski „powrót do natury” był wariactwem, które też bez szkodliwych skutków ugrzęzło tylko w marzeniach mieszczaństwa. Ale Russo nie miał do dyspozycji stu-tysięcznego Związku Młodzieży. Skutki takiego programu w tej sytuacji bez porównania muszą być inne — groźniejsze!

A TU RZECZYWISTOŚĆ SKRZECZY

Dla obrzędów mistycznych Cierniak znalazł miejsce w teatrze ludowym. Tymczasem Niecko wyprowadził je ze sceny w rzeczywistość i uczynił treścią życia związkowego młodzieży wiejskiej. A to jest grubo co innego!

Nagrywanie przez lata zbiorowych scen sielankowych na zjazdach, zebraniach i uroczystościach może dawało młodzieży mistyczne „uczucie się za jedno z przyrodą” (ze słowem i ziemią!), ale nie było posuwaniem życia wsi naprzód, nie było nawet posuwaniem życia młodzieży, przeciwnie, było kompenso-waniem jego realnej nieobecności. Niecko w ten sposób uprowadził młodzież od życia, o-szołomił ją tragicznym w skutkach marzeniem.

Bo przecież życie wsi mówiło i mówi o potrzebie dążenia w kierunku wprost przeciwnym.

Jaką była ta rzeczywistość? 13% chłopów powyżej 10 ha, z kaflowym piecem, podłogą, meblem miejskim, własnym siewnikiem, żniwiarką, kieratem, ale już bez elektryczności, radia, pism, z jednym dzieckiem co najwyżej w szkołach i całą rodziną w pracy, przy technice rolnej żal się Boże.

3% do 1 ha, 42% do 3 ha, 2 miliony bez-rolnych i robotników folwarcznych, 5 milio-nów gruzlików, 10 tysięcy na 20 milionów chłopów z średnim wykształceniem, bez dróg, szkół, instytucji użyteczności publicznej, bez sieci spółdzielni, domów zdrowia, żłobków, dziecińców, bez przemysłu, traktorów i tech-nicznych udogodnień.

A Niecko przed oczy młodzieży rzuca w te lata wizję mistycznego połączenia się z przy-rodą!?

PRECZ Z CYWILIZACJĄ!

„W każdym bądź razie — mówi Niecko — myśmy powinni chcieć tego, jeżeli nie chcemy leżeć pod gruzami bezdusznej i zimnej tech-nokracji, jako krańcowego rezultatu kultury zachodu”.

O Boże, a toż się do tego Zachodu nape-wno dziś modli. I gdzie tu mamy końcowy re-zultat kultury Zachodu? Czy na to wygląda Ameryka i Anglia? Tak mogą mówić mistycy, ale tragedia jest, kiedy za nimi powtarzają to setki tysięcy jeszcze naiwniejszej, a pełnej entuzjazmu i gotowej do poświęceń młodzieży.

Gdzie nas to na wsi pożera technokracja? Pieć wsi na całą Polskę, takich jak Lisków, jak Albigowa, nie liczyły nawet 5% technicznych cudów, i w takich przedcywilizacyjnych wa-munkach, jak od diabła czyni się egzorcyzmy wobec postępu technicznego?

I pośród takiej doli wsi polskiej głosi się na serio: „Tempo życia — wynalazki i wszelkie cuda techniki — to już tylko przedśmiertne, intensywnie wyżywanie się — właściwe wszelkim chorym organizmom”.

Któż to mówi? Chłop o przysłówiowym „zdrowym rozsądku”? Czy też?... Nie, ten mistycyzm nie przynosi zaszczytu ani warstwie chłopskiej, ani młodemu pokoleniu chłopów, które w swoich tysięcy życiorysach złożyło świadectwo głodu i psiego zaiste skomlenia za wiedzą, za realną wiedzą, która uzdrawia cho-

rego, bogaci biednego, daje wypoczynek prze-ciążonej pracą, o oberwanych trzewiach, — jak to było z moją babką — starowiną.

SENS RÓŻNICY

Na przyrodzie i jej prawach bardziej niż kiedykolwiek chcielibyśmy dziś skupić uwagę młodzieży chłopskiej. Ale bez mistycznych cu-dów, które zdemaskuje każdy inteligentny uczeń z czwartej gimnazjalnej.

Niecko pisał: „W każdym bądź razie wszyscy będziemy musieli się z tym zgodzić, że słowiańszczyznę wykształtowała przyroda”. Otóż nasz uczeń z czwartej klasy gotów sta-nowczo zaprzeczyć. Gotów w głos powiedzieć, że właśnie słowiańskość słowiańszczyzny po-legała na rolniczym ukształtowaniu przyrody! Im głębszy tu był twórczy trud naszych przod-ków, tym bardziej możemy być dumni z na-szego pochodzenia. A możemy. Bo na te przed-historyczne czasy nasi przodkowie robili wiel-ką historię cywilizacji. Potrafili budować ko-losalne osady na palach, z domami, w których były dębowe podłogi, jakich dziś nie spotka się jeszcze w 70% chat polskiej wsi. Wymy-slili, czy umieli przejąć i wychodować już pszenicę, jęczmień, proso, żyto, mak. Używali żaren. Obłaskawiali konie, krowy, kozy, owce, świnię, psa, używali motyki, szysła, młotów. Czy to była przyroda? Z nieba to wszystko nie spadło, ani też nie było gotowe. Stworzyła to wynalazczość człowieka jeszcze przed tysię-cielcami. A czy od legendarnych prawie cza-sów daleko posunęło się nasze życie na wsi? Wypada nam raczej słowiańszczyznę podziwiać za cywilizację, a nad naszą historią ręce fa-mać, że ugrzęzła w przyrodzie, to znaczy w nieporadności i zdławieniu postępu.

Dumni jesteśmy niemniej niż dawna szlach-ta, z „ludowości”, której starożytność jest na-szym godnym politowania złudzeniem.

Korale naszych dziewcząt — malowanka Tetmajera czy Wodzinowskiego — pochodzą z haremów Dalekiego Wschodu, skąd przez Włochy wraz z królową Boną do Polski zawi-tały w 16-tym wieku, a na szyje dziewczek tra-fiły w 18-tym wieku w postaci najlichszego gatunku świecidełek sztucznych od chałupni-ków jubilerskich, nie dopuszczonych do cechu za partactwo, tak samo jest z ubraniami, z ka-pelusami, którymi raczyli nas rzemieślnicy miasteczki z pokolenia w pokolenie w tan-detnych niezmiennych fasonach swego pomy-słu. Lepszego jadła uczyliśmy się na straga-nowych potrawach w miasteczku, kute skrzy-nie malowane przejeźliśmy z miasta, kiedy ono zastąpiło je szafa — i to wszystko było i jest dla nas ludowe, święte od samego Piasta. To też nie nasze — te chłopskie kartofle, akacje dla pszczelarza, bez w ogródkach dziewcząt — bo dopiero w 17-tym wieku przyszły z Ameryki i południa Europy. I przyjęliśmy i nie wstyd nam, ale nie honor poznać prawa przyrody, do których odkrycia żadną miarą nie mogła dojść słowiańszczyzna, a której dziś nie odkrywac nam trzeba, ale chociaż nauczyć się. Praw przyrody, jakie zna fizyk, inżynier-mechanik, elektryk, chemik, lekarz, architekt.

HASŁO MŁODOŚCI!

Kończy się ten artykuł — hasłem, a z hasła składa się każda „Oda do młodości”. I wagę nadaje im dopiero ich rola historyczna. A cóż może być dla nas piękniejszego nad dochowa-nie się zastępów własnej, chłopskiej intelligen-cji technicznej. Po szkołach, po świetlicach, po kołach, spółdzielniach, umiejmy rozpalic młodzież a nawet dzieci do poznawania taj-ników przyrody, do wytworzenia cudów tech-niki, a będziemy mieli swoją arystokrację — uczonych i tegich praktyków, z jakiej już są dumne na Zachodzie dawne narody chłopskie. Dopiero oni wespół z naszą inteligencją hu-manistyczną wniosą poprawę w to, co nam się w życiu miejskim nie podoba, ale oni stanow-czo przejmą wszystko, co tam było nie-przerwanym podnoszeniem cywilizacyjnym, aż po dzisiejsze próby użycia energii atomowej, zwiastującej nową epokę w technice produk-cyjno-pokojuowej.

Stąd błyska gwiazda lepszego jutra. A mówię to odkładając trzy świąteczne listy. Wszystkie pochodzą od byłych uczniów z konspiracji. Jeden od politechnicznej piątki, drugi od licealisty, donosi, że jego ko-lega chce w Ruchu Ludowym grać poważną rolę, musi więc zostać inżynierem, trzeci od najmłodszej z II klasy. Pisz mi o profesorze ma-tematyki, „on zawsze mówi na mnie synowa przy całej klasie, tak, że nieraz mnie ogień obsypują, tak się wstydzi. Na Mikołaja dosta-łam od jego syna z III. klasy prezent, a ja również nie pozylałam, tak że ani on nie wie-dział, że mu szokowałam, ani ja, że on mnie”. Ale wie już, że pójdzie na medycynę, bo „sio-szta żąda skończyć szkołę spółdzielczą, aby mi pomóc materialnie w studiach”.

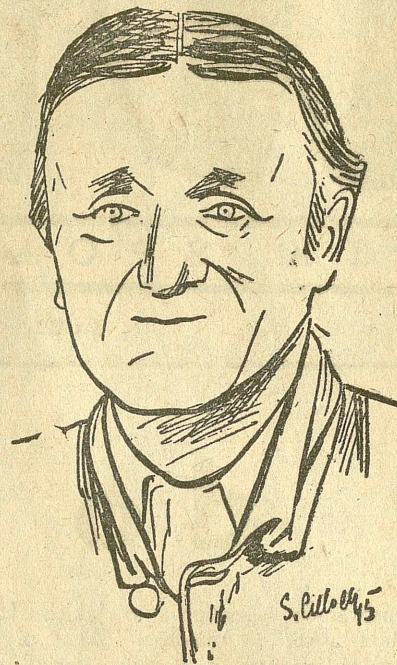
Oto jest nowa postać niegdyś mistycznego stosunku do stołca i ziemi — wsnółczesna! Upowszechnijmy ją w Nowym Roku Nowej Polski!

STANISŁAW NĘDZA-KUBINIEC

Janosik

(Fragment III — o zemście Janosika)

Ciąg dalszy z Nr. 20 „Wsi”.



rys. St. Cieloch

STANISŁAW NĘDZA-KUBINIEC

Spotkali się dwa junaki oba.
Hej kleryku, skąd te złote ubiory?
czy święta czy zapusty?
Zbielał młody pan jak chusta,
koń bez jeźdźca pognął po łące,
wędzidłami dzwoniąc.
Dwa junaki spotkali się na polu,
ostał żyw tylko jeden...
Słońce dawno minęło wśród pola, chylił się dzień.

Młody pan był twarzą do ziemi,
krew siczała z szerokiej rany i rozlewała się ślisko

Janosik rażnym krokiem
połem szerokim
zdażał na przełaj do dworu.
Pan wyszedł po obiedzie na ganek
użyć wczasu,
pod odwieczny
usiadł na szerokiej ławie,
pykał faję,
wzrokiem błądził po szerokim łanie,
płatach lasu,
w dali wysoczyły się Tatry granie...
Brama otworła się zuchwale,
zamąciła odwieczny hałasem,
zgrzytem zawiasów.
Witaj panku!
Przychodzę do ciebie w gości,
wyliczyć się, wyprościć,
za otrzymane od ciebie łaski —
gwarzył Janosik.
Po ostrzu i po toporzyku
spływały czerwone nitki krwi.
Sprościmy się żelazem,
Dawaj panku piniaże!
hajduk z flintą wyskoczył,
pod bramę się zatoczył
cięty toporzykiem przez pysk.
Dwór zaczął skamleć chłopskiej łaski.

Karczma stypa pijana
Karczma stypa śpiewana
trzęsą się okienka
jazzgotem gęśli.
stary Lewek w półgarnce nalewa.
Stary Jano na kiju nożem znaczy
półgarncówki,

nie oszukuj no sobako.
Zmrok do karczmy zapukał,
zaświecaj, Lewku, fakły,
bo podkurzimy strzechę.

Stary Jano pijany ślimaczy,
półgarncówki liczy,
płata się.
Gromada ma uciechę.
W okna karczmy uderzyła czerwień
obuchem.
Niebo rozdarło się na pół krwawą luną.
Ktoś krzyknął: — Gore- Gore!
Ogień!
w sieniach
niskie dźwierzce zaparły się tłumem,
ścisk.
Westchnienie wyrwało się ulgi,
nad wsią cisza.
Westchnienie wyrwało się ulgi,
diabli dwór biorą.
Nie pójdzcie się jutro na pańskie.
Dworusy pijani toczkiem lecieli ratować
Dwór!
Ekonom chrapiał: — Gromada chłopi!
k... m...
nie było woli —
Gromada uparta jak bór
stypa...
Karczma śpiewa pijana,
Diabli nie wezmą pana,
do rana.
ekonomie teraz noc — idź spać!
Stary Lewek zaczął nalewać półgarnce
ozwały się gęśle.
Janosik przez otwarte dźwierzce karczmy
wpadł do wnętrza.
Jakby powiał halny wiatr.
Niedługi kleryk w rozwianej sutannie
podobą ziemnej glisty,
ale
siumny zbójnik,
syn Tatr,
cud to oczywisty.
Jękły gęśle, zadudnił bas,
żyd w uklonach podłeciał pejsaty.
Kolpak złotem czerwony,
piórka chwieja się w te i te stronę,
pasik złotem kuty,
ciżmy złotem sute,
sznur czerwony, krzesiwa —
niech się świat nań podziwa.
W mocnych rękach ciupaga
wre gotowa na wroga
na toporzyku dźwierzcy
sto kółek sto złotych obręczy
Po jasnym ostrzu cienkimi nitkami spływa
krew

Chłopi — i — i — i — i!
kielo wos zapraszam na pańskie pogrzeby
do dworu!
tęgie miody, pszeniczne chleby —
szlachecka stypa.
W karczmie zaległa cisza jak w czas pomoru.
Dawaj wódkę!
Gęśle grać!
Sypią się pieniądze
po podłodze
srebrne talary, złote dukaty.
Ścisk.
Wolaj, Lewku, zapłaty!
Szaleństwo- Śpiew!
Pieśń się kończy, ściagam kurtynę
Karczma była pijana do rana.
Ze spalonego dworu leciał posłaniec pachofek
prosty

z listem od pani
z listem do jaśnie grafa Komorowskiego
starosty

— Ratunku!
— Chłopska rebelia!
— Niepogrzebione leżą trupy!
— Dwór spalony!

Janosik na ciupadze skoczył w Tatry,
zwoływać braci wiernych towarzyszy.
Czernią się wierchy, chłopskie baszty,

O Nędzy Kubinca słów parę

Ciekawe i burzliwe życie miał urodzo-ny w r. 1896 w Kościelisku poeta Stanisław Nędza-Kubinić. Syn biednego i obarczo-nego liczną rodziną gazdy, jak to przejmująco opisuje w partiach lirycznych swe-go „Janosika” przeżył wszystkie koleje ży-cia chłopca góralskiego — pasanie owiec, koszenie, orka, może i zarobek w doli-nach?...

Do szkoły średniej nie chodził, nie śniło mu się pisać wiersze — w roku 1920 wzięty pod Kijowem do niewoli zawędrował do Rosji i przeżył tam bogate w zda-rzenia, jak to sam lubi opowiadać — 3 la-ta życia.

O jakie miasto się nie otarł, gdzie nie był? Na co nie patrzył? Słuchał i wykla-dów Plechanowa, bacznie przypatrywał się tamtejszemu życiu — tam dojrzał.
Po powrocie do kraju osiadł na gospo-darce ojca, ożenił się, brał udział w życiu politycznym, począł pisać. Od razu zwró-cił na siebie uwagę swoją surową a do-stojną, liryczną chłopską. W r. 1936-ym wy-chodził jego pierwszy tomik nakładem Ko-ła Związku Podhalań „Na nową perć” —

Koniński poświęca mu rozdział w swo-jej „Antologii pisarzy ludowych” a „Anto-neum” Napierskiego — czołowy periody literacki przedwojenny drukuje jego słynny wiersz „Do mojej gwary”.

Dziś jest Kubinić wójem w swoim Kościelisku, orze, sieje jak i dawniej. Jak to góral, lubi czasem popić, podowcipko-wać, robić pustaka z siebie, w gruncie rzeczy jednak bardzo dużo czyta i pisał swego „Janosika” z pasją, a serdeczną meką. Poemat, w którym jednoczą się ele-menty różno. lne: baśniowe, klasowe, ba-terskie, liryczne, nie jest równy i wy-trzymany w swej formie literackiej — ale wciąż zastanawiający i przejmujący. Z ta-ką siłą, prawdą o nędzy i tęsknocie chłop-skiej ku wolności, równości i pięknu daw-no u nas nikt nie pisał.

Formiści może by powiedzieli że to nie poezja, że to proza i nieskoordynowa-na — nie zgadzam się. Owszem w „Jano-siku” klebi się od złej literatury, szorstko, nie ten wiersz wolny, młodopolski nie-kiedy — ale to tylko w rymach z „Na idzie ku nam surowa, mocna poezja”

S. P.

KAZIMIERZ BUDZYK

Dyskusja o gwarze

Lekkomyślna dyskusja na poważny temat

W naszej dyskusji o gwarze zabierają sko-
lei głos przedstawiciele nauki i krytyki: Ka-
zimierz Budzyk i Artur Sandauer. Dwugłos
ten, nawiązujący do dotychczasowych osią-
gnięć dyskusji, jest uzupełnieniem poprzednich
wypowiedzi — Józefa Pogana i Ant. Urba-
na. (Nr. 19 i 20 „Wiś”). Gdy jednak dwaj
pisarze chłopscy określali gwara subiektywnie,
z punktu widzenia własnego zamiłowania
i własnej twórczości, — to tutaj, w wypowie-
dziach krytyków, mamy ujęcie obiektywiz-
ujące, ogólne, teoretyczne. Dwaj krytycy repre-
zentują odmienne punkty widzenia, i inne po-
zycje dyskusji ich zainteresowały (Sandauer
analizuje Kubisza, Budzyk nawiązuje do sław-
nej rozprawki o „Mitologach wsi” w „Kuź-
nicy”). Zaznaczamy tu, że wypowiedź K. Bu-
dzika ze względu na brak miejsca została przez
nas podzielona, i dokończona jej zamieszc-
my w innym numerze „Wiś”.

Dyskusja w sprawie gwary rozwijała się
dotąd pod znakiem koncepcji, wynikających
raczej z osobistego przeświadczenia wypowia-
dających się autorów, nie popartych odwoła-
niem się sprawdzonych rzeczywistości. Mgliste
wyobrażenie o faktach i samo tylko zaciecie
polemiczne czy talent publicystyczny to o wie-
le za mało, jeśli się chce wnieść do sprawy
coś więcej niż ryzykowne tezy i... ciekawie
napisany artykuł.

Nie mam zamiaru uczestniczyć w tym chó-
rze rozpolemizowanych głosów. Nie będę
również rozstrzygał, czy wielkich teorii po-
to, żeby do nich słabo znane fakty dociągać.
Chciałbym raczej wyjść od niepoznanych i ma-
ło efektywnych stwierdzeń, które same przez
się narzuca pewne konsekwencje ważne dla
wiedzy o tej części naszej kultury i dla moż-
liwości jej takiego czy innego rozwoju.

PRYMITYWIZM GWARY

Gwara jako narzędzie społecznego kontak-
tu językowego jest systemem bardzo prymy-
tywnym, uzależnionym w tym zakresie od sy-
tuacji gospodarczej, społecznej i kulturalnej
posługujących się nim ludzi. Ograniczony i
nie rozwijający się dalej zakres działalności
chłopa wycisnął trwałe piętno na jego umy-
sowości i jego języku. Potocznie znany jest
jego niesamodzielny charakter myślenia, szu-
kającego zawsze oparcia w konkretnej formie
rzeczy. Abstrakcyjna myśl, pragnąca od razu
w pełni się wyrazić, jest chłopu najzupełniej
obca. Stąd to wynika, że przeważająca for-
mą socjalno-językowego kontaktu jest na wsi
rozmowa, stąd brak gwary abstrakcyjnych
pojęć. W dłuższej wypowiedzi będziemy mie-
li specyficzny tok opowiadania: charakter-
ystyczne powtórzenia dla dobitniejszego wyra-
żenia myśli, znamienne zwroty, kierowane
do słuchaczy, wpadanie słuchacza w opowiadanie
często nawet przez opowiadającego sprowo-
kowane, — tok świadczący o pierwotnym
prymitywizmie niewykształconego umysłu, nie
umiejącego się zdobyć na samodzielną re-
lację.

JEJ JEDNOSTRONNOŚĆ

Niezaprzeczone od prymitywizmu warto w gwa-
rze podkreślić jej jednostronność. Wynika to
z uwarunkowanej społecznie jednorodności
kontaktów językowych. Gwara jest po prostu
tylko i wyłącznie językiem potocznym. Wiś
innego języka nie zna. Różnicowane potrze-
by kulturalne człowieka wykształconego stwo-
rzyły wielość języków, którymi biegle się po-
sługujemy, nie zawsze zdając sobie sprawę z
ich odrębności. Inaczej gawędzimy w przyja-
cielskiej rozmowie, innego języka używamy,
gdy zabieramy głos w uczonnej dyskusji, w
innych zupełnie słowach układamy tekst praw-
niczych przepisów czy rozporządzeń, inaczej
układamy jakieś uroczyste oświadczenie, jakże
inaczej brzmieć będzie nasz język intymny,
i t.d., i t.d. — co inna sytuacja życiowa,
to odrębny język. Różnica między człowiekiem
wykształconym a chłopem polega nie tylko na
większym u inteligenta zróżnicowaniu potrzeb
kulturalnych. Chodzi o to, że po to, by język
mógł się tak swobodnie nagiąć do każdej od-
rębnej sytuacji, potrzebny jest pewien dość
wysoki stopień wyrażenia kulturalnego,
którego przecie nie uświadczy na wsi. Stąd
też z jednostronności językowej chłopu wcale
nie można wnosić o jego jakoby ubóstwie we-
wnętrznym i braku zainteresowań.

BŁĘDY „POLITYCZNEJ” OCENY GWARY

Omówione dotychczas cechy gwary, zwykle
zresztą bardzo pobieżnie i powierzchownie
obserwowane, piętnuje się obecnie jako bar-
barzyństwo, jako wynik nieoświeconej trady-
cji zaś samą gwara jako samobronę klasową
chłopa przed... robotnikiem i inteligentem.
A tymczasem, rozwijając zakreślone już ramy
ustrojowe, dążymy przecie do osiągnięcia po-
wszechnie możliwie najwyższego poziomu kul-

turalnego, w konsekwencji zaś do społeczeń-
stwa bezklasowego. Istotnie takie są nasze
dążenia, ale czy choć trochę zbliży nas do tego
celu tępienie gwary i propagowanie ogólnie-
literackiego języka na wsi? Dzieje kultury zna-
ją taki eksperyment, kiedy to najbardziej oświe-
cona garstka społeczeństwa greckiego, pa-
trząc z przerażeniem na zatracenie piękna
ojczystego języka, ucieleśnionego w arcydziele
Homera, postanowiła zreformować powstałe
w ciągu wieków gwary i przywrócić literacką
postać greczyzny. Ten jedyny w dziejach
eksperyment się udał, ale czy powstrzymało
to w biegu historii? — czy z dzisiejszymi
Grekami mógłby się Homer porozumieć?

Doprawdy zostawmy gwara w spokoju, bo
to niepoważnie wygląda. Tym bardziej nie-
poważnie im bardziej jest się marksistą. Idea
społeczeństwa bezklasowego o podniesionym
ogólnie poziomie kulturalnym nie zakłada by-
najmniej konieczności zniwelowania wszelkich
różnic między jednostkami czy grupami ludz-
kimi — a już najmniej różnic językowych.
To też źle by się stało, gdyby jakiś zapamię-
tały, a nieświadom rzeczy reformator z mocno
osadzonym ćwiekiem ideologicznym w nie
dość oświeconej głowie chciał skazać chłopów
na jednojęzyczność. Ktoś, co się powołuje na
mickiewiczowski i czarnoński stosunek do
słowa, powinien by pamiętać o jeszcze jednym
stosunku, który się wyraził w nieśmiertelnej
strofie Słowackiego:

„Chodzi mi o to, aby język gętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa
A czasem był jak piorun jasny, prędko,
A czasem smutny jako pieśń stepowa”.

Właśnie bogata wielojęzyczność a nie narzu-
canie przeciętności ogólnokulturalnego dialek-
tu — oto ideał, którego urzeczywistnieniu na
prawdę warto poświęcić wiele wysiłku. Tylko, że
da się to osiągnąć nie na drodze zreformowa-
nia języka, lecz przez zwielokrotnienie potrzeb
kulturalnych człowieka. I dlatego — powta-
rzam — zostawmy gwara w spokoju.

JAK SIĘ KSZTAŁTUJE STOSUNEK CHŁOPA DO GWARY?

Główną podstawą, z której rozwija się wielo-
języczność inteligenta jest język domu rodzin-
nego — język, jak to się mówi, wyssany z mle-
kiem matki. Dla dziecka chłopskiego tym języ-
kiem codziennym jest gwara. I żeby nie wiem
jak wielkie nadzieje na niwelowanie gwary
przywiązywać do wpływu szkoły, tego zasadni-
czego faktu nie może przeskoczyć. Nie nale-
ży zapominać, że gwara jest poza tym języ-
kiem środowiska, z którego dziecko chłopskie
pochodzi i w którym żyje. Jak wielkie ma to
znaczenie, niech zaświadczy obserwowane po
wielekroć językowe „schłopienie” tych dzieci
rodzin inteligentek, które uczęszczają do
szkoły wiejskiej czy małomiasteczkowej. Dwa
te fakty rozstrzygają bezapelacyjnie wszelkie
spory czy obawy teoretyzujących na ten temat
autorów, którzy wnioski mają gotowe wcześ-
niej, niż do nich dotarli, i którzy wobec tego
czują się zwolnieni od konfrontowania swych
tezy z doświadczeniem i opartą na nim wiedzą.
Zanim przyszyłby inteligent chłopskiego pocho-
dzenia stanie się istotą wielojęzyczną, już od
7-go roku życia zaczyna poznawać drugi swój
język, a mianowicie dialekt kulturalny, którego
opanowanie praktyczne — jak przy każdym
obcym języku — przez długie lata będzie tylko
częściowe i stosunkowo prędko dziecko uzyska
w nim biegłość tylko w zakresie czytania, nato-
miast mówienie naprawdę płynne i bez zaha-
mowań opanuje uczeń najwcześniej dopiero w

latach dojrzałości. Z pisaniem jest o wiele le-
piej, gdyż język ogólnopolski jest jedynym
językiem pisanym, jakiego dziecko używa. Bie-
głość pisarska w gwarze jest już kunsztem, któ-
ry nie bez wysiłku wtórnie trzeba zdobywać.

Tak przedstawia się sprawa gwary od strony
szkoły. Dalszy stosunek chłopu do swojego je-
zyka określi jego pozycja społeczna i rodzaj
zajęć, jakim się będzie oddawał. Jeśli pozosta-
nie u siebie i straci związek z życiem kultural-
nym zapoczątkowanym w szkole, powróci cał-
kowicie do góry, zachowując co najwyżej jakąś
taką sprawność (bo już nie biegłość) władania
językiem ogólnopolskim w czytaniu. Jeśli chłop
będzie brał czynny udział w życiu społecznym
i kulturalnym, zostanie zasadniczo dwujęzycz-
nym i wtedy gwara będzie językiem codzien-
nym, zaś dialekt kulturalny będzie używał
od wypadku do wypadku — czy to w rozmowie
z „panem”, czy też w jakimś wystąpieniu pu-
blicznym — stale zaś będzie stosował język
ogólnoliteracki w piśmie. Gdy wreszcie wyjdzie
chłop ze swej sfery i zwielokrotni swe potrzeby
kulturalne, dialekt ogólnopolski w całym swo-
im bogactwie stanie się jego zasadniczym języ-
kiem w mowie i piśmie, natomiast gwara będzie
się posługiwał za każdym swoim pobytem w
domu rodzinnym, oczywiście, gdy mówi o spraw-
ach nie wykraczających poza krąg zaintere-
sowań tubylczego rozmówcy.

Widzimy więc, że całe bogactwo języka o-
gólnopolskiego dostępne jest, jak dotąd, tylko
chłopskiej inteligencji. Wiąże się to z jej funk-
cją społeczną, która polega na współdziałaniu
z kadrami inteligencji miejskiej w tworzeniu
ogólnonarodowej kultury. Na odcinku humani-
stycznym w wielu wypadkach właśnie język bę-
dzie narzędziem tej twórczości, toteż opanowa-
nie go bez reszty jest zasadniczym warunkiem,
od którego zależy możliwość dalszej pracy. Sze-
rokim warstwom konsumentów kultury na wsi
życie tego warunku nie stawia i stawiać nie mo-
że choćby dlatego, że nie daje możliwości jego
realizacji. Toteż czy się to komu podoba czy
nie, wiś na długi czas jeszcze w najlepszym
wypadku pozostać musi dwujęzyczna i będzie
to dużym osiągnięciem pedagogicznym, jeśli
rzeczywiście potrafimy doprowadzić do opano-
wania tam dialektu kulturalnego w stopniu zbli-
żonym do sprawności, z jaką chłop posługuje
się gwara. Podniesienie poziomu kulturalnego
na wsi niewątpliwie gwara wzbogaci, stępi jej
prymitywizm, powiększy zasób słownictwa, mo-
że zróżnicuje ją funkcjonalnie, ale żeby miał
tam zapanować przyjęty ogólnie standart mo-
wy (jaki mianowicie — potoczny, naukowy,
literacki, salonowy?) — niech się nikt tego ani
nie spodziewa, ani obawia. Język zbyt jest
zdeteterminowany warunkami ekonomicznymi i
sytuacją społeczną środowiska, żeby tego ro-
dzaju prorocтва miały się kiedykolwiek speł-
nić. Warto o tym przypomnieć zwłaszcza do-
morośłym marksistom.

ROLA GWARY W LITERATURZE

Gwara jest od dialektu kulturalnego uboższa
— to jasne. Wynika stąd w sposób oczywisty,
że twórczość literacka, która by wyjść poza
gwara nie chciała, skazywała by się na tak
wielkie ograniczenia, że straciła by niechybnie
możliwość dalszego rozwoju a w konsekwencji
stałaby się właściwie zaprzeczeniem pojęcia
twórczości. Czy jednak można wyciągnąć stąd
wniosek, że „literatura powinna zacierać różni-
ce dialektalne mowy, a nie pogłębiać je?”
Brzmi mi ten nakaz jakoś fałszywie. Dlaczego
to literatura ma być w ogóle obciążona jakimś
tego rodzaju obowiązkiem? Przecież to obo-

wiązek nieomal policyjny. Co jej do tego — li-
teraturze — czy chłopu mają się wyzbyć swego
języka, czy też mają go kultywować.

Bardziej przemawia mi do przekonania takie
postawienie kwestii, które się wyraża w stwier-
dzeniu, że „wprowadzenie gwary do języka li-
terackiego (ściśł. literatury) (nigdy całkowicie,
zawsze tylko fragmentarycznie) musi być u-
warunkowane artystycznym chwytem”. Odpo-
wiada mi — podkreślam — postawienie tej
sprawy, bo ten nawiasowo przytoczony znów
nakaz sugeruje niesłuszny, moim zdaniem, po-
gląd, jakoby całkowite wprowadzenie gwary,
czyli chyba (tak to rozumiem) wprowadzenie
jej jako jedynego w danej chwili systemu ję-
zykowego, nie mogło być uwarunkowane chwy-
tem artystycznym. Nie jest zaprzeczeniem ucz-
ciwego wysiłku artysty ani też nie jest fotogra-
ficzną łatwizną pisarską każde przejmowanie
gwary w jej autentycznej postaci. Tam, gdzie
język utworu literackiego odwarza stan ogólnie
w danej chwili panujący (a zdarza się tak nie
tylko w utworach pisanych gwara) — wysiłek
artysty polega na osiągnięciu trafności wyrazu
w ramach przyjętego systemu językowego i na
sharmonizowaniu słownej realizacji utworu z
pozostałymi elementami dzieła. Oryginalna
twórczość językowa jest rzadkim przywilejem
geniuszów słowa, którzy swymi dziełami wyzna-
czają słupy graniczne poszczególnych epok. Nie
wszyscy dorastają tej miary a jednak trudno by
całej reszcie pisarzy odmówić rzetelności wy-
siłku i dużego nieraz znaczenia dla literatury.
Sprawiedliwość nakazuje traktować autorów
piszących gwara przynajmniej tak, jak pisarzy
korzystających z zastanego języka ogólnop-
olskiego czy ustalonej konwencji językowej w li-
teraturze. Stosując te kryteria okaże się, że taki
np. Nędza-Kubinieć jest pisarzem całkiem serio
i wcale nie tak pośledniej miary, bo zarzut hit-
lerowszczyzny ideologicznej wysunięty pod ad-
resem poematu opiewającego bujny tempera-
ment harnasiów trzeba chyba z miejsca poło-
żyć na karb nie mniej bujnego temperamentu
polemicznego zagalopowującego się publicysty.

CZY GWARA „WZBOGACA” CZY „ZUBAŻA” TWÓRCZOŚĆ?

Przejdźmy jednak do gwary. Nie potrafi ona
wyrazić wszystkiego — jest, jak wyżej stwier-
dziłem, od dialektu kulturalnego uboższa. Ale
czy wobec tego wprowadzenie jej do literatury
musi literaturę zubożyć? Jest rzeczą oczywistą,
że jej nie potrafi wzbogacić, gdy literatura
weźmie na siebie mało pociągający „obowią-
zek” niwelowania odrębności dialektalnych
gwary. Gwara w swym niewątpliwym prymity-
wizmie i jednostronności jest jednak dorobkiem
— i to nie byle jakim — dotychczasowego roz-
woju kulturalnego chłopu. Tak by się zdawało,
że raczej twórcze wykorzystanie tego dorobku
niż niwelacja wielowiekowych osiągnięć jest
prawdziwym, bez cudzysłowu, obowiązkiem li-
teratury.

Jedną z ważniejszych cech języka literatury
jest obrazowość. Stwierdziłszy wyżej, że ogra-
niczony i nie rozwijający się dalej zakres dzia-
łalności gospodarczej i kulturalnej chłopu na-
stawił w pewien określony sposób jego umyślo-
wość i w pewnym określonym kierunku wy-
kształcił język. Właśnie w kierunku obrazowo-
ści, która jest tak charakterystyczną cechą je-
zyka literatury. I nie bez kozery, a przynaj-
mniej wcale nie w bezkrytycznym upojeniu
gwara wołano kiedyś: „to teżżyna, to krzepa,
to staropolska mowa!” Właśnie wtedy — nie
teraz — poznano się dobrze na gwarze. Na wy-
lot przeznał ją Orkan, któremu także i w tej
dziedzinie poniektórzy istotnie nie sięgają do
kostek.

Jestem jak najdalej od pochwalania reak-
cyjnej społecznie podbudowy ideologicznej tego
tam kiedyś ruchu, ale w imię właśnie krytycz-
mu i zdrowych tendencji, które w marksizmie
każą na odcinku kultury nie negować, lecz twór-
czo przepracowywać dotychczasowe osiągnięcia
historycznego rozwoju — w imię tych zasad
chciałbym, żeby stosunek literatów do gwary
zerwał z neofickim wulgaryzmem sensownych w
gruncie rzeczy teorii.

Twórcze przepracowanie nie może się zaczy-
nać od lekceważenia i gruntownej nieznajomości
przedmiotu. Zaś znawstwo w zakresie języka
to istotnie rzecz arcytrudna. Dlatego też wprost
przerażony jestem wielką liczbą tych, którzy
czują się uprawnieni do zabierania głosu w
sprawie gwary, jej przyszłych losów i jej roli
w literaturze. I to co artykuł — to autorytet.
Czyż by tak się miała przejawiać demokracja?
— Całkiem bez złośliwości, ale bardzo by się
przydało, żeby te autorytety przeszły niejakie
przeszkolenie na seminarium prof. Nitscha.
Albo, jeżeli nie, to przynajmniej żeby wstąpił
do mającego powstać Powszechnego Uniwersy-
tetu Rzetelności Pisarskiej, w którym wszystkim
publicystom mają wbić w głowę: jeśli na
czymś się nie znasz, to o tym nie pisz.

JULIA HARTWIG

Na wsi

Malec brudny jak ziemniaczek zbiega z pagórka by zdążyć,
ale już chłopaki zbierają na plecy ogniska jesienne
i chronią się do chałup.

Gdy na dworze sieci szronu i rzeczułka zastygnie łukiem
wędzą się przy kominie chłopci,
zanim z obręczy rolniczego kółka
nie wyjdzie do świetlicy schludna córka gospodarska z półmiskiem
zanim chłopak nie wróci ze szkoły,
niosąc groch piękny, jak holenderski tulipan.
Tymczasem na próżno nadsłuchują nocą rżenia
nędza jak koniokrad uprowadza konie z ich snów
i ledwie wydrapują dobre słowo z dna miski

choć dym idzie z komina prosto
i wjeżdża pociąg na stację wioząc najnowsze gazety.

Dyskusja o gwarze

LEON SOBOCIŃSKI

ARTUR SANDAUER

O literaturze gwarowej

Przeżywamy obecnie w piśmiennictwie chłopskim, zgrupowanym dokoła „Wsi” — odrodzenie narzecza. Prozaicy, ba nawet poeci chłopscy nie tylko, że wprowadzają do swych utworów wyrażenia gwarowe, ale — co więcej — normalnym polskim słowom nadają kształt jak najbardziej odmienny od literackiego. Poeta Paweł Kubisz uważa widocznie, że byłoby kompromitacją dla jego ludowości, gdyby — zamiast „stojym” — pisał „stoję”, a zamiast „pod mokróm wargóm” — „pod mokrą wargą”. Warto by się zastanowić, czemu lub komu ma służyć to przekręcanie normalnego języka i pisowni? Publiczności chłopskiej? Wątpię, aby chłop — chociażby z tego samego powiatu, co Kubisz — łatwiej zrozumiał „stojym” niż „stoję”. Dla mieszkańca zaś drugiego powiatu, gdzie mówią na przykład „stoj”, słowo „stojym” będzie już zupełną zagadką. A może, używając gwary, poeta chce wywołać wrażenie w czytelniku, że poezja jego jest rdzenna i ludowa? Lecz taka, robiona z rozmysłem, poezja chłopska — pozostanie zawsze tworem sztucznym. Chłop prawdziwy stara się wyżyć, jeśli może, błędów w swej pisowni; nasi zaś poeci, którzy są, oczywiście, inteligentami z wykształcenia, starają się przyswoić sobie tych błędów jak najwięcej. Jeśli utwory swe przeznaczają dla chłopów, to niepotrzebnie obniżają się do jakiegoś tam — rzekomo niskiego — poziomu. Chłopi wymagają literatury równie poprawnej, jak każda inna publiczność, tylko może bardziej konkretnej i rzeczowej. Jeśli zaś utworami swymi chcą zdobyć nas, mieszczuchów, to uprzedzam, że pisanie „stojym” i „wargóm” nie przekona nas wcale o ich ludowości. Inteligenci, którzy władają doskonale mową literacką, nagle zaczynają się sztucznie udzielniać przy czym tylko ich słowa są pozbierane w kolorowe stroje, myśli zaś po staremu książkowe i inteligentkie. Tak np. w zwrotce Kubisza

I poetóm, mścicielem
Wyrósł na świat niedzielóm
I raz zagrać w organy
Świstém w huku targanym

owe „świsty w huku targane” z pewnością nie mają charakteru ludowego. Pocóż Morton w zdaniu, które brzmi normalnie, po literacku, wstawiła nagle „pomysłunki” zamiast „myśli”? Jest to nie tyle kwiatek do kożucha, ile kożuch do kwiatka.

Wzbogacenie języka literackiego wyrażeniami gwarowymi dopuszczalne jest tylko wtedy, jeśli 1) autor chce wywołać efekt komiczny (Szczepcio i Tońcio), o czym chyba w cytowanych powyżej przykładach nie może być mowy, 2) jeśli nie mówi od siebie, lecz przytacza cudze powiedzenia, 3) jeśli cały utwór wkłada w usta osoby trzeciej (Tetmajerowy Sabała), 4) jeśli rzeczywiście inaczej pisać nie umie. W przeciwnym wypadku będzie to zawsze zabawa, zabawa zresztą dość szkodliwa, gdyż utrzymuje czytelnika w przekonaniu, że chłopu dobrze z niewiedzą i półanalfabetyzmem, że to nasze rodzime itd.

Nie mówiliśmy dotychczas o tych wypadkach, gdzie gwara uważa się za nowy i odrębny język. W XIX wieku t.zw. Felibry, Mistral, Roumanille i in. wprowadzili z powrotem język prowansalski do literatury. Ludność wiejska Francji południowej czyli t.zw. Langwedocji mówi tym językiem, zupełnie odmiennym od francuskiego i niezrozumiałym dla mieszkańców Północy. Arcydzieło tej szkoły Felibrow „Mirejo” czytaliśmy w jednym z ostatnich numerów „Wsi” w bardzo udatnym przekładzie Jastrzębca-Kozłowskiego. Mamy tu jednak różnicę nie gwarową już, lecz językową i nawet... polityczną. Tworzenie odrębnego języka w obrębie jednego państwa świadczy najczęściej o dążeniu do politycznego wyodrębnienia się. Jednostki języka polskiego nie należy jednak rozbić. Można go tylko wzbogacać, lecz nie należy tworzyć całych szkół literackich, których jedyną racją bytu jest to, że piszą gwara danej gminy lub powiatu.

Miał lat 6 ten Janek. Nie więcej. Chyba nawet mniej. W każdym razie był grubo młodszy od „Janka muzykanta”.

Od niego samego w tej materii nic pewnego dowiedzieć się nie mogłem. Reprezentował bowiem ten okres życia, w którym lata się nie liczą. Są jeszcze nieważne, takie piskące lata. Nawet nie szczególnie.

Niedożywiony. Ot, zwyczajnie, mało-rolnych rodziców dziecko. Całym bogactwem licznej rodziny była krowa z jałowką. Ojciec chlał i bił żonę z chłopskiego kaprysu. Była słabowita, chora. Pewnie bił za to, że chora. W domu obowiązkowo co rok zjawiał się prorok. Rodziła jak ziemia. Z czworga drobiazgu Janek był najstarszy.

Poznałem Janka któregoś tam roku okupacji. Zimą to było. Wielgachny śnieg przyniósł pola, drogi. Na dworze cisnął się wiatr, jak zły pies na uwięzi. Kasał, kłął szpilkami lodowatego śniegu. Nie z przyczyny mrozu. Z powodu żandarmów. Ukrywałem się wietnias, jak wielu, wielu innych. Musiałem się skazać na domowy areszt.

Janek, jakas niepojęta mi dotąd intuicją, wyczuwał niewygodę mej pozycji. Był mi łącznikiem ze światem. Przynosił gazety z miasteczka. Na jego dyskretnie mogłem liczyć. Dziwna rzecz, jak wielkie miałem do niego zaufanie. Bywa ono często podświadome.

Janek przychodził do mnie za dnia i wieczorami. Opowiadał, siorbając nosem, co się na wsi i w jego chacie dzieje. Obdarzony był zmysłem spostrzegawczym. Gdy starsi rozmawiali chyttrze, niby nic, na boku coś majstrował, ale pilnie wolał uszami mową starszych. Stąd jego nie oczekiwane, ni przypięt, ni przylatane, prze-mądrzałe zwroty. Gramolił mi się często na kolana, nie pytając o pozwolenie i zmu-szając do pokazywania sobie obrazków z książek, ilustracji, z gazet. Jego duże, pełne zadumy oczy, koloru modraka zasłaniał tylko oberwany, co i stałogowany latami ojcowy kaszkiet. Czapki, zwyczajem chłopskim, w izbie nie zdejmował. Chodził z rękami w porciętach, zawsze ważny, uroczyście.

Książkę z obrazkami oglądaliśmy już nie wiem po raz który. Był to jakiś stary rocznik „Płomyka”. Janka ciekawiło w nim wszystko.

— A co to? Pokaż — nalegał.

Janek mówił mi „ty”. Janek wszystkim mówił „ty”. Od tej jego poufalskości nie

broniłyby mnie nawet fioleły arcybiskupa, gdybym je nosił. Kto go tam rozwiązał? Kto o nim pamiętał? Zauważyłem, że z chłopcami ze wsi mało wiele przesta-wało. Tyle tylko, ile konieczność wyma-gała. Taki był z tego malca wielki samot-nik. Bawił się sam. Prawda, nie sam, z Kruczkami. To było jego towarzysztwo, to był jego świat. Z Kruczkami nawet ja-dał pod stołem.

Janek miał jedno nadzwyczajne upodo-banie. Lubił wycinać obrazki i przykle-jać na ścianie.

Nie mogłem w nim zgłębić tego popędu do sztuki dekoracyjnej. W wyniku obser-wacji skrzętnie chowałem nożyczki, bo by Janek tego „Płomyka” idealnie wykończył.

— Janek, a kochasz ty ojca? — zagad-nałem go któregoś dnia ni z tego, ni z owego.

— Nu...
Z początku nie mogłem się domyśleć, co owo „nu” miało oznaczać. Janka „nu” wyrażało wszystko: i tak, i nie, potwier-dzenie i powątpiewanie, zdziwienie i pew-ność siebie. W tym „nu” zamykał się ca-ły jego świat myślowy. Był to skrót jego uczuciowego życia.

— Janek — pytam — co ty chcesz prze-z to „nu” powiedzieć?

— Nu, ni, stary pijak.
— A ciebie bije?

— Nu.
— Boisz się go?

— Nu, ja bym mu dał w niucha!

Mówiąc to, Janek ścisnął nożyczki w rękę.

— Toś ty widzę ryzykant.

— Nu?

Janek wiercił się na kolanach niespokoj-nie. Ojciec bije go często.

Janek nierzad zatrzymywał na noc u siebie. Było mu dobrze w ciepłej atmosfie-rze naszej przyjaźni. Jak mógł okazywać mi swe przywiązanie. Gdy był nałot żan-darmów na wieś, przybiegał do mnie zdyszany.

— Schów się, ziandary!

Gdy było po nalocie, ozpajniał z trium-fem, jak by to się stało za jego sprawą.

— Te, nie bój się, pojechali.

I gramolił mi się na kolana. Brał nożycz-ki w rękę, rozkładał „Płomyka” i zame-czał mnie pytaniami:

— A co to? A co to?

Nie mogłem być niewdzięczny. I w na-grodę musiałem od początku obrazki te pokazywać i objaśniać.

Słuchał, słuchał, patrząc mi w oczy, a

gdym się odwrócił, chlask, chlask nożycz-kami. Łatwo sobie wyobrazić, jaki żało-sny strzęp przedstawiała ta książka. Gdym go zawstydział, że robi to samowolnie, ukradkiem obiecywał poprawę.

Miał wielką uciechę, gdym mu pozwa-lał zrobić użytek z nożyczek. Przejrzaw-szy ilustracje niemieckie, dawałem je na pastwę Jankowi. Dopiero sobie używał. Nic go od tej pracy oderwać nie mogło. Gdym go straszyl ojcem, stawał się:

— Nu, ja mu dam w niucha.

I z niezmaconym spokojem wycinał sa-moloty, okręty i tapetował ściany. Pozwa-lałem mu na to. Estetyka wnętrza i tak na tym nie ucierpiała. W całej tej robocie Janka uderzył mnie jeden szczegół cieka-wy. Wycinając starannie drobnymi ręcz-kami, malec nigdy nie wyciął i nie powie-sił mi na ścianie Hitlera. Gdym Janka za-interpelowałem o powód tego, rzekł z po-wagą:

— Nu, sobaka — i pociął kancлера Trze-ciej Rzeszy w drobne kawałki.

Tak nam schodziły wieczory i dni. Że-gnał się nieraz ze mną w późną noc, a że-gnał się w osobliwy sposób.

— Nu, już trza iść, żeby ten drań matki nie pobili. I poważny, stateczny zniknął za drzwiami. Wychodziłem za nim do sieni otworzyć drzwi, bo do kłanki było mu za wysoko.

Któregoś zimowego ranka, dobrze pamię-tam, kalendarz patrzył na mnie smutną czarną datą 13 stycznia.

Na dworze leżała nieruchoma, biała ci-sza mrozu. Janek wali do sieni nerwowiej niż zwykle. Wpuszczam go.

— Co ci jest?

— Te, pst, — pst, cicho, szepcze, kładąc palec na ustach, schów się, ziandary!

I znikł szybko jak przybłęd.

Nerwami więcej, niż wzrokiem, widzia-łem we wsi jakieś niecodzienne porusze-nie. Schowałem się na poddaszu domu, wśród rozmaitych rupiec. Do uszu moich dochodził coraz bliższe gardłowe głosy, krzyki. Domek stał prawie przy drodze. Przez szczylinę widzę żandarmskie mundu-ry. Trzech ich było. Jeden z nich opasył coś sołtyśowi pod nosem wygraża i drze się. Sołtys bladej, niby ten śnieg. W półot-kach stoja baby. Psy podnoszą swój za-ciekły lament. I Kruczek też solidarnie ujada na drodze. Nagle strzał! Nie ma już Kruczka. Kruczek już nie będzie szczekał na Niemca. Żandarm zamknął mu pysk na zawsze. I widzę Janka, jak podejmuje z ziemi Kruczka. Biedny Kruczek, jeszcze biedniejszy Janek. Stracił przyjaciela.

I po tym zrobiła się niezwykła cisza. Prze-szli. Czuję jak w sercu tłok ssąco-fłoczą-cy pracuje mi z podwójną energią: raz — raz. Schodzę z góry na dół. Znow rumot w drzwi. Otworzyć, nie otworzyć. Stało się. Nie otworzyć, gorzej. Otwieram. Ale to był Janek — smutny... Przyszedł po szpadeł. Swemu Kruczkowi chce sprawić pogrzeb. Sądziłem, że płacze. Zadzieram mu tę nieszczęsną czapkę do góry i pa-trzę w oczy. Naprawdę, nie płacze.

— Janek, co poszli?

— Ni, schów się, przyjdą po krowę.

Schów się imo dobrze. A po chwili dodał frasobliwie:

— Mlika nte bedziwja mieli. Matka le-ży i dzieciakowi z piersi nie ma co dać. Stary „zachlany”. Schów się, imo schów się dobrze.

Poszedł i już nie przyszedł więcej. Już Janek nigdy, siorbając nosem, w nasunie-tej na oczy czapie nie przyjdzie do mnie...

A było to tak: żandarmi przyjechali po kontyngent. Już poczuli sowiecką ofensy-wę. Robili wynocne i ze wsi spędzili by-dło przed sołectwo. Krowy stały przwvia-zane do sztachet. Sami poszli do sołtysa na łuste śniadanie, zagrać się wódką.

Baby polamentowały i rozpędzone strza-łami na postrach, skryły się po chatach. Nie uciekli tylko Janek. Wypatrzył stosow-na chwilę i gdy nikt nie widział, spuścił z łańcucha ojcową granulę, a ta zwycza-jem krowim, w napadzie radości, zadart-szy ogona, pogalopowała do obory.

Podjadłszy sobie kosztów wsi, żandarmi wyszli na dwór. Jeszcze raz liczą liczą i nie mogą się doliczyć jednej krowy. Sprawa się wnet wyświeśliła. Nikt, tyl-ko Janek to zrobił. Niemcy, nie wdając się w długie śledztwo, za karę ogolocili wieś z całego dobytku. Gospodynie pom-stowały na czym świat stoi.

— Widzita go, jaki to bękart, jaki to ry-zykant, pełaczyna boża.

Zbiły przez żandarmów, ojciec siłukł z kolei dziecko na kwaśne jabłko. Zbił bez Boga. Czy Janek płakał — nie wiem!

Na drugi dzień Janko ryzykant nie żył. Nikt po nim nie płakał, nikt go nie ża-łował.

Ważniejsze były sprawy. szły ważniej-sze dzieje. Nawet Kruczek nie zawył na jego mogile, nawet ja, jako przyjaciel je-go, tej reji Jankowej grudką ziemi po-żegnać nie mogłem.

I pogrzeb Janka był cichy, taki samot-ny, prawie nijaki.

Obniosło dokoła śniegiem. Świat stał się szary, popielaty.

JANKO-RYZYKANT

(Nowela naszych dni)

LESŁAW M. BARTELSKI

Elegia

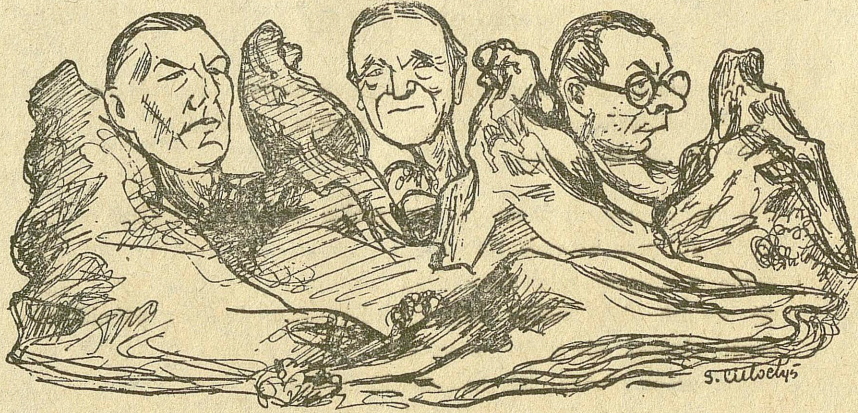
Jedna jest męska przyjaźń
w mocnym uścisku dłoni,
i karabinów trzask
nie złamie jej.

Lecz jakże wskazać matce
miejsce, gdzie zagasi płomień,
rów wykopany nocą,
gruzy, cegły i zieleni?

Twarzy rzeźbionej kością
nie wessie wilgotna ziemia,
która choć z oczu wyziera
i miejsce serca zajęła.

Strzałem do wroga naszą przyjaźń
umacniam: krótki jest męski płacz,
ciało zostawiam ziemi
i naszą młodość.

GÓRALE — ZEJDZIE JUŻ Z HAL!



rys. St. Cieloch

Rok 1945 przeszedł w poezji chłopskiej pod znakiem gór i rozbójników. Paweł Kubisz drukował u nas poemat „Rebelia Goroli w Mostach”. Stanisław Nędza-Kubiniec — poemat „Janosik”. Stanisław Skoneczny — poemat „Kostka Napierski”.

W 1946 roku przysłał nam nową powieść Jalu-Kurek. Zgadnijcie pod jakim tytułem? — „Janosik”. Redakcja „Wsi” znajduje się w poważnym kłopotcie wobec czytelników i dlatego na tym miejscu uprzejmie uprasza pisarzy chłopskich: „Górale, zejdźcie już z hał”.

PANI WIRSKIEJ

Pani Janowa zapoznała go niezwłocznie z panią Wirską, na którą swoim zachowaniem i męską postawą pan Zygmunt podzielał tak silnie, że nim upłynęła doba, doszło do „sprzyjania”. Zabito z tego powodu dwa barany, z których jednego, jako krewną (oczywiście nie barana, tylko pana Zygmunta) otrzymała w całości pani Janowa. Barany zostały skonsumowane błyskawicznie i nic nikomu się nie stało, jedynie pan Jan dostał silnego rozstroju, ale „tabletki „Carbo animalis” postawiły (już po paru godzinach) nieszczerliwego małżonka na nogi.

Gdy się działy wyżej wspomniane wydarzenia, młodsza siostra pani Janowej, pracująca jako pomocnica buchaltera w gminnej zbiorni mleka, została przez świeżego kierownika tejże zbiorni (poprzedniego usunięto za nadużycia) zaszczycona propozycją matrymonialną.

Jednak siostra pani Janowej, choć miała około trzydziestki i po na ogół burzliwej młodości była obecnie do małżeństwa skora, propozycję odrzuciła z dwóch powodów: 1 uważała, że kierownik jest za stary (miał 64 lata), 2 — brała pod uwagę sytuację polityczną t. zn. nie wierzyła w zwycięstwo Niemców (a teje narodowości był oczywiście kierownik zbiorni mleka). Ażeby jednak nie narazić się zwierzchnikowi, chwyciła się, złotego środka i postanowiła starszuka wyswatać. W tym celu poznała go z panią Wirską. Stało się to w dniu, w którym pan Zygmunt wrócił do pracy. Wypadki potoczyły się teraz jeszcze szybciej.

Starszek od pierwszego wejrzenia zakochał się w pani Wirskiej i następnego dnia napisał do niej miłosny list (adresatka mi go odczytała), w którym wspominał z rozrzewnieniem swą zmarłą żonę i pragnął podobnego szczęścia na resztę swych dni z panią Wirską.

Tutaj pani Wirską ujawniła jeszcze raz swoją wielkoduszość. Pojechała niezwłocznie do Łodzi i odczytała list Zygmuntowi.

Nastąpił dramatyczny konflikt.

Pan Zygmunt nie był w prawdzie — jak twierdziła pani Janowa — „rozwodnikiem” (swoją drogą z tymi „rozwodnikami” to zatrzęsienie), gdyż formalnego rozwodu nie miał. Gdyby jednak podpisał „Volksliste”, rozwód otrzymałby automatycznie. Ale pan Zygmunt podpisał „Volksliste” nie mógł, gdyż był jeszcze w wieku poborowym i miał cieszyć się szczęściem małżeńskim z panią Wirską, poszedłby „czasowo do wojska”.

Więc spełnić się musiało przeznaczenie.

— Jak wyjdę zamąż za kierownika zbiorni mleka — powiedziała wzruszona pani Wirska — nie będziemy z sobą, Zygmuncie więcej sprzyjał. Pan Zygmunt zniósł cios mężnie i odparł:

— Daję ci, Sylwio wolną rękę, życzę ci szczęścia i nie miej do mnie żalu. Z kolei pan Zygmunt, jako dżentelmen, chciał zapłacić za 8 jaj i pół kwarty masła, które otrzymał od pani Wirskiej, gdy wyjeżdżała ze wsi i które to produkty szczęśliwie przesyługlował.

— Obrażasz mnie — rzekła z wyrzutem pani Wirska — ja pieniędzy mam dość, a ty i tak mało zarabiasz.

— Od Zygmunta poszła bezpośrednio pani Wirską do swej przyjaciółki Ani Gruber (mąż „czasowo w wojsku”, którą nieraz zasilała mięsem baranin, indykiem itp.

Ania Gruber, po wysłuchaniu relacji dotyczącej dramatycznego konfliktu i po zapoznaniu się z treścią listu pretendenta do ręki przyjaciółki, wpadła w entuzjazm i serdecznie „Sylwuni” pogratulowała.

Pani Wirska nie miała zamiaru zawiadomić Herr Zdanowskiego, że wychodzi zamąż (chciała mu zrobić „kawał”), ale specjalnie nie prosiła przyjaciółki o dyskrekcję.

To też zaraz po wyjściu pani Wirskiej, Ania Gruber zadzwoniła do Herr Zdanowskiego. Ten, po usłyszeniu nowiny, doznał prawdopodobnie chwilowego porażenia pewnych ośrodków mózgu, w każdym razie zachował się niepojętnie, jak wnioskować można było z ohydnych listu, wysłanego do pani Wirskiej.

List był jeszcze w drodze, kiedy pani Wirską, nucąc ulubioną piosenkę, w której „psy się uspiły” i „pewnie mnie czeka mój Filon miły” rażno podążyła szosą pod las na decydujące spotkanie, o które ośmielił się prosić w liście kierownik zbiorni mleka.

Kierownik zaczął od wytuszczenia swego poglądu na małżeństwo, które uważał za rzecz poważną, a nawet świętą.

To też prosił, ażeby pani Wirska, miast później łamać mu życie, namyślała się do brze, nim powie „tak”.

— Bo słyszałem dodał wstydliwie i nie dokończył...

Pani Wirska potraktowała sprawę szczerze otwarcie.

Przed poznaniem pana — rzekła — byłam wolna i niezależna, to też nie może pan mieć do mnie pretensji, ale zaręczam, że gdy powiem „tak”, o zdradzie nigdy nie będzie mowy. A teraz muszę panu powiedzieć, że bardzo mi się pan podoba, jest pan zupełnie w moim guście, gdyż lubię tylko starszych, zrównoważonych mężczyzn, bo tylko tacy mogą dać kobiecie opiekę. I od tej już chwili zostaję pana narzeczoną.

Kierownik był bardzo wzruszony i pragnął, aby narzeczeństwo uczcić pocałunkiem.

Pani Wirską krępowała się, gdyż mógł kto zobaczyć. Ale narzeczoną nie liczył się w tym wypadku z opinią, więc nastąpiła idylla.

Na tle pachnącej, szumiącej przyrody i w pełnym blasku słońca złączyły się ich usta.

— Ty wiesz, — wyszeptała wzruszona pani Wirska — że ja mam dopiero 44 lata, regularny okres i — mogę mieć jeszcze dzieci.

Te słowa napełniły zrozumiałą radością starszuka, bo do tej pory ojcem nie był. Więc cieszył się jak dziecko, że przyszła żona może zostać matką.

Trzymając dłoń narzeczonego w swojej, pani Wirską odprowadziła go daleko w stronę miasteczka, potem on znowu ją odprowadził i tak kilkakrotnie, aż załatwili sprawę kompromisowo i rozstali się pod lasem, w miejscu, gdzie nastąpił początek idylli.

Wracając do dworu, pan Wirską nie spodziewała się, jak bolesna czeka ją niespodzianka. Nadszedł bowiem list od Herr Zdanowskiego, który ośmielił się słowami najbardziej obelżywymi, najbardziej wulgarnymi nauragać kobiecie, wobec której „nie zastąpił”. Pani Wirską list ten pokazała z daleka, ale powiedziała, że nie odczyta go za nic w świecie (ja też nie nalegałem, bo zresztą nie miałym śmiałości...)

Za to zapewniła mnie, że po przeczytaniu listu dostała kompletnego rozstroju nerwowego i całą noc płakała. Nazajutrz jednak odzyskała swą zwykłą energię i zatelefonowała do nadawcy listu.

Niezałatwiona sprawa

„Płaskorzeźba pani Wirskiej” Czesława Gardy odsłania nam jedno z najboleśniejszych upokorzeń przez jakie przeszedł naród polski pod okupacją niemiecką. Dla nie dość przekonanych czytelników faktami przedstawionymi w powyższym opowiadaniu podajemy list Edwarda Wróny z Białej (poczta Maków Podhalański) w którym autor piętnuje tę część inteligencji, która splamiła się współpracą z okupantem:

„Inteligencja pracująca w administracji, zwłaszcza ta, która „pilnie” współpracowała z Niemcami jest najgorzej widziana na wsi. Sam miałem okazję poznać na własnej skórze charakter tej inteligencji. Są to ludzie, którzy całe życie dbają tylko o własny brzuch i służą każdemu za byle ochłap. I w dodatku są to tacy, którym nie było źle! Chłop zapamiętał sobie tych panów, różnego rodzaju agronomów, kierowni-

— Panie Zdanowsky — zaczęła twardo po niemiecku — czy pan podtrzymuje te ohydne obelgi, jakimi pan mnie w liście obrzucił? Czy pan chce, żebym wyciągnęła z tego konsekwencje? Czy pan chce, żebym oddała pana w ręce policji? Czy pan chce, żeby mój narzeczoną (który jest przyjacielem komendanta żandarmerii) pociągnął pana do odpowiedzialności?...

Pani Wirską nie wiedziała wprawdzie, ale dałaby głowę, że Herr Zdanowsky przy telefonie zbłądził. Po chwili też zaczął niezdarne bełkotać po niemiecku:

— Nie podtrzymuję. Sylwus, byłem — przyznaję — niepojętny, bardzo cię przepraszam, Sylwus, bardzo... i proszę cię jeszcze, żebyśmy się ostatni raz spotkali u Ani Gruber, wtedy przeproszę cię osobiście...

— Dobrze, zgodziła się oschle pani Wirską — porozmawiam z panem, bo mamy jeszcze do uregulowania rachunki...

Gdy narzeczoną przyjechał po południu, pani Wirską, nie chcąc go martwić, nie wspominała mu wcale o liście, i wszystkich przykrościach.

Ale kierownik zbiorni mleka, swymi ładnymi, błękitnymi oczyma (pani Wirską twierdziła, że oczy ma ładne i powiedziała mu to wprost), dojrzał na twarzy ukochanej smutek, który jednak wytłumaczył sobie tym, że każda kobieta przed decydującym krokiem, tj. przed zamążpójściem jest trochę smutna, w czym jest jej nawet trochę do twarzy. Pani Wirską nie wyprowadziła go z tego mniemania, czego nie powinniśmy jej mieć za złe, tym bardziej, że postarała się szybko stworzyć taki nastrój, aby narzeczoną czuł się zupełnie szczęśliwym.

W tym celu poczęstowała go kunsztownie sporządzoną potrawą z kury, którą starszek, mimo że nie miał w górnej szczęce zębów, (to był jedyny — zdaniem pani Wirskiej — drobny defekt przyszłego męża) zjadł bez trudu i nie mógł się dość nachwalić.

Z kolei dała mu pani Wirską do oglądania rodzinne fotografie. Ujrzał więc starszek członków swej przyszłej rodziny, przedewszystkiem syna pani Wirskiej, który choć z niechęcią (przez trzy lata nie chodził do szkoły i strasznie się rozleniwił) odbywał „służbę pracy” („Arbeitsdienst”) i miał potem pójść do wojska. Następnie zobaczył starszek wnuczka narzeczonej, którego przyszła pasierbica tuliła do łona (zrobiła się wcześniej „Volksdeutsche” niż matka, bo — „musiała” bo miała w Toruniu sklep galanterijny) a obok

stał zięć narzeczonej) okazał się bardzo dobrym mężem i ojcem, bo chociaż uważał za wystarczające, że tylko żona będzie „Volks.” to jednak wezwany do podpisania „Volkslisty”, uczynił to i szybko odjechał, aby walczyć w obronie rodziny i „europejskiej kultury”.

Narzeczonemu tak się ta grupa z wnukiem podobała, że po raz drugi w swym życiu pocałował w usta babcię i z kolei namiętnie przytulił się do niej. Ale pani Wirską podzielała pogląd tych kobiet, które dopuszczają do „sprzyjania” wtedy tylko, kiedy są nie związane żadnym słowem, kiedy zaś są słowem związane, czyli znajdując się w stanie narzeczeńskim uważają, że nie powinno się psuć tych najmielszych w życiu kobiety i mężczyzny chwil, pełnych narozkoszniejszych, czarodziejskich perspektyw.

Narzeczoną ocenił to stanowisko należyście.

— Za to cię więcej kocham — powiedział — i szanuję.

Ale żeby przedrzeć do czarodziejskich perspektyw się zbliżyć, postanowili narzeczoną dać za dwa dni na zapowiedzi, następnego dnia bowiem pani Wirską miała się spotkać z Herr Zdanowskim u Ani Gruber. Spotkanie to odbyło się bez żadnych przeszkód i można je uważać za zakończone „ostatniego stadium”, dlatego też — choć niechętnie — parę słów o nim powiem. W obecności Ani Gruber Herr Zdanowsky przeprosił raz jeszcze panią Wirską i zdobył się nawet na tyle szlachetności, że życzył jej szczęścia „na dalszej drodze życia”, poza tym dał słowno honoru, że 1.225 marek zwróci w ciągu tygodnia. Chociaż słowa nie dotrzymał, pani Wirską postawiła na tym długu raz na zawsze krzyż.

— Od mężczyzn — powiedziała ze słuszną dumą — nigdy niczego nie potrzebo- wałam, najwyżej mogłam im jeszcze dać.

Konsekwentnie też postąpiła, gdy narzeczoną chciał w formie prezentu ślubnego podarować jej złoty zegarek zmarłej żony.

— Nie — odparła — zegarka nie przyjmę, bo mam swój (choćby obecnie jest w reperacji u zegarmistrza). Nie potrzebuje też kupować mi innych rzeczy, bo mam wszystko, kompletnie wszystko, od bielizny pościelowej aż do kompletu sukien letnich, zimowych i futra. Jeśli masz — dodała — jakie suknie po nieboszczce, to odeślij je swej rodzinie, niech nie myślą, że wychodzę zamąż goła...

— Za takie słowa — odparł przepełniony wzruszeniem narzeczoną — coraz bardziej cię kocham i szanuję

Tak wyglądali, przedstawieni tutaj w najbardziej zwięzłym skrócie wydarzenia dwóch tygodni.

Gdy wyjechałem ze wsi, i zajrzałem tam znowu po pewnym czasie, pani Wirską już nie zastałem. Zwolniła się z posady gospodyni i narazie wyjechała z mężem na 10 dni do swej córki do Torunia.

Pani Janowa, mimo że pani Wirską uregulowała z nią wszystkie rachunki czysto, jak również dotrzymała słowa i dała 10 kg mąki siostrze pani Janowej („za skuteczne swaty”) mimo to powtarzam — pani Janowa wyraża się o byłej współniczce w taki sposób, jak w czasach dawnych gniewów.

Mówi np., że Wirską będzie męża zdradzała i że już nawet uczyniła odpowiednio propozycję panu Zygmuntowi, ale ten bał się, czego pani Janowa nie miała mu wcale za złe, bo gdyby się mąż pani Wirskiej dowiedział, oddałby „uwoździela” w ręce policji i wtedy pan Zygmunt wisiłby bezapelacyjnie.

Nie traktuję tych słów poważnie, co najwyżej uważam, że jest w nich tyle prawdy, ile w każdej tendencyjnej propagandzie.

Jestem natomiast przekonany, że jeśli małżonek obecnej pani Sylwii Güttler ujawni, że posiada podstawowe zalety męża, to do zdrady nie dojdzie, tak jak nie doszło za czasów pierwszego męża, kiedy to przewodniczący koła P. C. K. sześćdziesięcioletni zaledwie mężczyzna, kochał się w pani Wirskiej na zabój.

Uważam też, że ta in statu nascendi pokazana i — ośmielam się twierdzić — zupełnie wykończona Wirskiej płaskorzeźba (a nie zarysy fragmentów, jakby może powiedział pewien były łódzki wiceprezydent, a powtórzył za nim piąty i dziesiąty śmiertelny), zasługuje nie na banalne komentarze, a na wnikliwszą analizę i subtelniejszą ocenę.

r. 1942

Czesław Garda

JAROSŁAW JANOWSKI

ZDŁAWIONYM SZEPTEM

Tem strasznym bojowaniem
cokolwiek już znuzeni
radziłbyśmy odpocząć
na jakimś skrawku ziemi.

Czy jeszcze są na mapie
tak idylliczne kraje,
których nie pociął w sztuki
krwią zbryzgany rapier!?

Odległe lądy, morza
i puszcze nieobjęte
cofają się zdumione
przed wojennym tętentem.

Gdzie w niebo rosły miasta,
tętniące ludzkim gwarem —
tam dymią w pustce zgłiszczą —
za jaką winę, kary?

Gdzie przedtem kwitły sady
tam gigantyczny walec
tratuje wszystko do cna
w upartym ciągłym szale.

Skrzydłami samolotów
rzucamy cię na niebie!
Ateny, Madryt, Dakar
tak blisko są do siebie...

Zacieśnia się pętlica
i coraz gęstsze kraty.
— Gdzie ująć? — Napróżno kluczyć
po domach i ulicach.

Ścigany bez wytchnienia,
ciągle zmieniając leże,
słania się, pada człowiek,
na śmierć zaszcute zwierzę.

Na nowy rok

Na progu nowego 1946 roku mamy do zainicjowania sporo faktów, świadczących o stałej poprawie stosunków międzynarodowych. Konferencja moskiewska, zakończona w ostatnich dniach grudnia, wywołała odprężenie. Na konferencji ustalono procedurę zawierania traktatów pokojowych z Włochami, Rumunią, Bułgarią, Węgrami i Finlandią, ustalono datę konferencji pokojowej, przez powołanie komisji dla spraw Dalekiego Wschodu wzmocniono na tym terenie współpracę Rosji Radzieckiej, Anglii i Ameryki. Wśród ważnych postanowień konferencji nie można pominąć utworzenia Sojuszników Rady Kontroli nad Japonią, wyjaśnienia stosunku wielkich mocarstw do Korei (pełna niepodległość po upływie pięcioletniego mandatu Stanów Zjednoczonych, ZSRR, W. Brytanii i Chin), stosunku do Rumunii i Bułgarii (powołanie w tych krajach do czynnego udziału w rządzie przedstawicieli partii demokratycznych, dotychczas stojących na uboczu życia politycznego). Wreszcie nie mniej ważną jest zapowiedź powołania przez Generalne Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych specjalnej Komisji Kontroli nad energią atomową. Niewątpliwie jest jeszcze szereg spraw, dotychczas nie rozwiązanych. Wyniki konferencji moskiewskiej pozwalają jednak mieć silne przekonanie, że trzy mocarstwa kroczą zdecydowanie po drodze wzajemnego zaufania i zabezpieczenia trwałego pokoju.

A jednak...

W tych czasach wielkich przemian politycznych i społecznych uczucia narodu polskiego, narodu, który walkę o wolność swoją zawsze łączył z walką o wolność innych ludów, zwracają się ku dalekim republikom indonezyjskim, walczącym o niepodległość. I trzeba to śmiało powiedzieć, że po sposobie rozwiązania spraw indonezyjskich — można będzie osądzić szczerść państw — twórców Karty Atlantycznej, zasady samostanowienia ludów itp. Nie jest pozbawiony pikanterii fakt, że państwa, głoszące niedawno świętą wojnę o wolność, teraz wysyłają dywizję za dywizją na uśmierzenie powstań Jawajczyków. Nikt inny, jak naród polski, mocno potępia wszelką politykę imperializmów, odośobnionych egoizmów państwowych. Nadchodzi era braterskiej współpracy kulturalnej i materialnej wszystkich narodów. Państwa, które nie nadążają za tymi przemianami i nie zrozumiały w porę nowych czasów, muszą zginąć.

MATERIAŁY W REDAKCJI

Czesław Schabowski nadesłał fragment z powieści „Tama”.

Stanisław Telega nadesłał fragment z powieści pt.: „Ośma rano”.

Leon Pokora nadesłał fragment z dramatu pt.: „Bóg się rodzi — moc truchleje”.

Jalu Kurek nadesłał fragment z powieści pt.: „Janosik”.

O sztuce stawania na głowie

Brak orientacji w sprawach pisarstwa ludowego, w połączeniu z niechęcią do „Wsi”, spłata „Kuznicy” pociesznego figla. Nr 11 tego postępowego pisma przynosi bowiem... pochwałę artykule wyrażającego wsteczne tendencje kulturalne — i jednocześnie potępienie artykułu stwierdzającego tendencje postępowe w nowej cywilizacji wiejskiej. Sprawozdawcę „Kuznicy” zmyliło zapewne, że punkt widzenia postępu reprezentował tym razem „Sztandar Chłopski”, który jest organem PSL; czasem się i tak zdarza! Autor artykułu, St. Dzikowski, ubolewa naprawdę nad zanikiem zainteresowania dla specyficznej problematyki ludowej, ale stwierdza, że „zanikanie dawnej kultury ludowej jest objawem naturalnym”, „czułościowe biadolenie z powodu zjawisk, których odwrócić nie podobna, nikomu nie jest potrzebne”. Te przypadkowo na łamach „Sztandaru” zamieszczone poglądy, przyjęte zostały kwaśno przez „Kuznicę”, jakkolwiek wyrażają niewątpliwie nowoczesny punkt widzenia.

Nie można tego natomiast powiedzieć o artykule p. Przybosa w „Odrodzeniu”, godnego zaiste jakiegoś ultrakatolickiego organu. Zgodnie ze swoją taktyką tępienia konkurencji o ambicję literackich (por. ostatnio ataki na „Odrodzenie”, ubolewania nad szkodliwym rzekomo rozkwitem prasy w Polsce), „Odrodzenie” zawzięcie likwiduje „Więś”, wynajdując przytem najosobliwsze i najsprzeczniejsze argumenty. Niedawno stwierdziło „Odrodzenie”, że Oddział Wiejski jest dywersją polityczną (art. „Parcelacja czy komasacja”), — co prawda ob. Bierut w oficjalnie ogłoszonym komunikacie na temat pisarzy ludowych był innego zdania, ale kiedy się tym przejmować... Obecne argumenty są z innej, najmniej w „Odrodzeniu” spodziewanej beczki: „Więś” podrzuca chłopu „ku-

kułcze jaja stylizowane na pisanki”, ma „fałszywą ambicję robienia literatury drugiej klasy”, wypowiada się w niej nie wieś, a „grupa pisarzy”, więc „Więś” nie spełnia przyrodzonej sobie roli i t.d. — a dlaczego? bo „Więś” nie drukuje chłopskich pamiętników, twórczości samorodnej, spontanicznej, automatycznej, masowej, która jest lepsza niż „kukulcze jaja” chłopów inteligentnych, bo „lud polski jest niewzruszony”, bo chłop polski nieuczony lepszym jest poetą, niż wszyscy zarządzi intelektualiści pisarze „Wsi”, itd., itd.

Domyślamy się dlaczego bonza polskiej literatury zachęca nas do popierania żywiołowej grafomanii, którąby wyrefinowany czytelnik mógł się bawić, jak poezją Zulusów. P. Przybosa uważa, że mniej będzie groźne dla niego, gdy będziemy robić literaturę trzeciej klasy zamiast „drugiej klasy”. Ale dlaczego ten uderzający wsteczny punkt widzenia obudził na łamach postępowej „Kuznicy” tak niezwykle uciechę, że określono go jako „wypełniający bez reszty lukę w dyskusji na temat pisarstwa ludowego”? I to wiemy! I to wiemy! Bo z tych dwójga rozwiązań: by „Więś” popierała drugorzędą twórczość, albo trzeciorzędą, — nas przyjaciele zarówno z „Kuznicy”, jak z „Odrodzenia”, wybierają rozwiązanie... jeszcze inne: by „Więś” wogóle przestała wychodzić.

Na szczęście jest paru obywateli, zyczliwie dla pisma nasławionych; jeden przyjął nas w Warszawie w dn. 29 listopada. Gdy skarżyliśmy się przed Nim na niedorzeczne nastawienie prasy lewicowej, powiedział z uśmiechem: „A wy się nie bójcie, i róbcie dalej swoje”. Był to niejaki p. Bierut, Prezydent Krajowej Rady Narodowej.

j. sz.

„Więś” zagranicą i w kraju

CZECHY

Dziennik „Tešinské noviny”, wychodzący w czeskim Cieszynie, zaniepokoił się poważnie działalnością „Wsi”, czego wyrazem jest długa, ciągnąca się na przestrzeni trzech kolejnych numerów (116—119, z dn. 27, 28 i 30 listopada) rozprawa dr L. Dorazila p. t. „Jan Krokwi o Petru Bezručovi”. Chodzi tu o drukowany w Nr 16 i 17 „Wsi” artykuł Jana Krokwi „Prawda o Śląsku”. Krokwi analizuje w nim twórczość szowinistycznego poety czeskiego, Bezruca, który ostatnio mianowany został „czeskim poetą narodowym”, co ze strony rządu czeskiego ma charakter demonstracji propagandowej. Bezruč bowiem jest typem nacjonalistycznego pisarza, fałszującego rzeczywistość Śląską, przez co dostarcza argumentu antypolskiej działalności czeskiej na Zaolziu. Niestety rozprawa dr Dorazila, mimo że tak obszerna, nie może być uważana za polemikę, bo wciąż zbacza z tematu, omijając zarzuty perfidii, stawiane przez Krokwię Bezručowi i dokładnie udowodnione cytatami z jego twórczości. Dla uciechy naszych czytelników przytaczamy z oryginału parę zdań, dotyczących opisu „Wsi” jako pisma wogóle: „V Lodži vychází společensko-literární týdeník Ves-wies na pékném, hladkém papíře s úhledným tiskem, číslo stojí 5 zł. Dle dnešního kursu našich 8 Kčs. Prodává se i v Polském Tešíně. Číslo 16 ze dne 11 listopadu 1945 obsahuje 1 část článku Jana Krokvi s titulem „Prawda o Slezsku” a podtitulem „Petr Bezruč — symbol báběnického klamství”. Titul tištěn jest centimetrovými písmenami, aby neušel pozorností čtenářů”. Niestety, podobnie jak czytając „Więś” zauważył dr Dorazil li — tylko dobry papier i wyraźne ozdobki w tytułach,

równie niewiele spostrzegł — czy chciał spostrzec — w treści artykułu z którym polemizuje. Dr Dorazil mało nam więc „dorazil”.

A że wiadomości przez nas o Śląsku podawane są ściśle, mamy i w tym dowód, że budzą one wśród nacjonalistów czeskich zdenerwowanie o wysokim napięciu. „Więś” jest tępną bardziej niż inne pisma, a radio Morawska Ostrawa gwałtownie nas napada.

MOSKWA I LONDYN

Moskiewski publicysta Zastawski w „Prawdzie” obszernie cytując artykuł Z. Kałużyńskiego „O inną spółdzielczość”, drukowany w Nr 12 „Wsi” z dnia 14 października 1945 r., uważając go za wyraz postępowych, reformistycznych tendencji w polskiej spółdzielczości; przytacza krytykę stanu obecnego Związku Samopomocy, jako dowód niezadowolenia z jego funkcji społecznej. Nasz artykuł o spółdzielczości przeszedł osobliwe koleje; przytoczyło go pismo wychodzące po polsku w Palestynie, w Tel-Avivie, ale — jako przedruk z „Prawdy”; „Więś” bowiem tam jeszcze nie dociera...

Sympatyczny dowód życzliwości przesłał nam za pośrednictwem znajomych znany pisarz chłopski, Stanisław Młodzeniec, przebywający w Londynie. Wiele dawnych swoich współpracowników, poetów chłopskich, odnalazł na kartach „Wsi”, i skorzystał ze sposobności by przekazać im z wyspy wyrazy uznania.

KATOLICKI „TYGODNIK POWSZECHNY”

W Nr 39-m „Tygodnika Powszechnego” Zofia Starowiejska-Morstinowa pisze obszernie o „Wsi”. „Gdyby chcieć jednym słowem określić tygodnik „Więś”, mogłoby to uczynić słowem „żywość”. Nawet tzw. żywe pisma miewają zakamarki nudy, w których omawia się z obowiązkową sprawą mniej zajmujące. We „Wsi” niema takich zakamarków”. „Sympatyczna przede wszystkim jest pozytywna strona pisma, które nie żyje tylko w walkach i polemikach (jak to się zdarza innym tygodnikom), ale wysuwa pozycje realne i konstruktywne. „Więś” chce budować i buduje kulturę wsi, zajmując się jej przyszłością, jej sztuką, jej piśmiennictwem. Trzeba przyznać, że temat jest pasjonujący, a jego różnorodność i wszechstronność nasświetlenie w piśmie ciekawe, sięgające do zagadnień istotnych, poczynając od zapytania napozór najprostsze: kto jest chłopem? Za tym idzie szereg innych: kto czyta „Więś”, czy literatura chłopska ma być pisaną gwarą, itd. Jakież słusznie występuje Jalu Kurek przeciwko konserwowaniu sztucznej ludowości naszej wsi, jakież słusznie występuje J. A. Król przeciwko piśmiennictwu tzw. ludowemu, które pisze dla chłopów językiem infantylnym”. „Obok wszechstronnego omawiania spraw, związanych z zagadnieniami wsi, obok informacji i wiadomości, polemik i dyskusji drukuje „Więś” sporo utworów pisarzy chłopskich. Są one często na wysokim poziomie, zwłaszcza wiele wierszy uderza świeżością i siłą”. Autorka kończy: „Choć niewątpliwie wolelibyśmy spotykać na łamach „Wsi” nuty ideologiczne bardziej zbliżone do naszego katolickiego światopoglądu, choć wolelibyśmy, aby działacze pracujący z taką gorliwością dla dobra wsi, przy odrzucaniu wielu tradycji, nie odrzucali u tej budującej się kultury pierwiastka tak głęboko wrośniętego, jakim jest katolicyzm, jednak pismo to należy uznać za pozycję nie tylko zajmującą, ale i z wielu względów dodatnią”.

Przyznajamy szczerze, że nie spodziewaliśmy się ze strony „Tygodnika Powszechnego” nieraz przez nas atakowanego, takiej życzliwości. Jaskrawo się od niej odcina niechęć literatów, tępiących konkurencję „wiejską”, a skupionych po lewej stronie, której wszak nie myśleliśmy zaczepiać.

Mylicie się czytelnicy, nie „Więś” niosą — niosą jak przystało: myrrę kadzidło i złoto.

rys. St. Cheloch

PISMA PSL O „Wsi”

Organ PSL „Chłopski Sztandar”, dwukrotnie zajmując się działalnością „Wsi” i Oddziału Wiejskiego ZZLP, w dużych artykułach: St. Dziłkowskiego „Pisarze chłopcy (Nr 7) i W. Wilbik „Kultura chłopska czy proletariacka” (Nr 11). Obydwaj autorowie pozytywnie na ogół oceniają stronę literacką „Wsi”. Dziłkowski pisze: „Nie brak tu poezji raczej dobrej, szczerzej i pozbawionej niezdolnych sztuczek intelektualnych, nie uprawiającej ugania się za wynalazkami formalnymi, które nużą czytelnika. Wiersze przemawiają w sposób oryginalny, językiem soczystym, czasem nawet gwarą doskonale zastosowaną (Kubisz)”. Zarzuca Dziłkowski „Wsi” rozmyślnie pomijanie spraw folkloru i etnografii polskiej, wreszcie wysuwa główny zarzut o charakterze politycznym: „Ideologia „Wsi” wydaje się czasami dziwnie niepewna i mętna. Wiele można wyczytać między wierszami, kiedy usiłuje się usprawiedliwić dążenie do odrębnej kultury ludowej, co jest karcone przez ludzi, zdawałoby się, kierownictwu „Wsi” bardzo bliskich. Wydaje się czasami jakby redaktorzy „Wsi” starali się uspokoić swoich przyjaciół politycznych, że przedź czy później ich program zostanie zrealizowany, może nie wszędzie, ale przynajmniej... na łamach „Wsi”. Nie wiadomo tylko jak się zachowają wówczas wybitniejsi pisarze chłopscy, którzy z taką ufnością nadsyłają utwory do redakcji tego tygodnika”.

Podobnie motyw polityczny góruje w oświeleńsprawie przez W. Wilbik. Autorka zwraca uwagę na niechętny stosunek pisarzy „skupiających się wokół Kruczkowskiego, Boguszewskiej, Ważyka czy Putramenta” — do literatów chłopskich, „W czasie gdy wieś grupująca się pod sztandarami PSL zdecydowanie prze do zajęcia odpowiedniego miejsca w państwie, pisarze ludowi jako awangarda Ruchu, nie mogą chodź rozproszeni, gubiąc się po obcych manowcach”. „Gdy został utworzony Oddział Pisarzy Wiejskich, gdy przekształcono czasopismo „Więś” na tygodnik społeczno-literacki, w czasie tym nie doszło do połączenia „grupy lubelskiej” z właściwym trzonem organizacyjnym wsi. PSL grupując dużą część chłopską wyszło na widownię polityczną, tworząc osobne stronnictwo. I oto wytworzył się stan pełen sprzeczności i niejasności. „Więś”, wywołując swój rodowód z Lublina, doceniając interesy pisarzy chłopskich, dążąc do utworzenia zespołu, zmuszona jest lawirować między obydwojema stronami, zdecydowanie nie chcąc się narazić swoim przyjaciołom i protektorom”.

Nie wiemy gdzie autorka dostrzegła tych „przyjaciół i protektorów”, bo jak dotąd, zarówno jedna jak i druga strona okazuje nam wyraźne niezadowolenie, może nawet większe jest ono po lewicy. Oczywiście wiele jest w tym literackiej konkurencji, ale więcej — motywu politycznego. Jedni i drudzy pragnęliby ujrzyć „Więś” po swojej stronie barykady, nie chcąc pojąć, że sens istnienia naszego pisma polega właśnie na apolitycznej robocie kulturalnej; pełne jej zrozumienie wykazał Prezydent Bierut, który powiedział do pisarzy chłopskich w dniu 29. XI: „Grupa pisarzy chłopskich często atakowana jest z prawa i lewa za niechęć wyraźną zdecydowanie się co do linii politycznej swojej działalności. Mimo to działalność takiej grupy nie może być związana z działalnością jakiejś partii. Pracować na rzecz podniesienia szerokości mas ludowych można w wielu różnorodnych formach. Zbliżanie rzesz chłopskich do sztuki, kultury i wiedzy — przeprowadzane w szczerych intencjach służenia istotnym interesom ludowym będzie jedną z takich form”.

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król.

— KOMITET REDAKCYJNY: Kałużyński Zygmunt, Kubicki Marian, Morton Józef, Ozga-Michałski Józef, Olcha Antoni, Pięta Stanisław. KOMITET TERENOWY: Frasiak Andrzej, Nęcza-Kubiniec Stanisław, Kubisz Paweł.

REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 96.

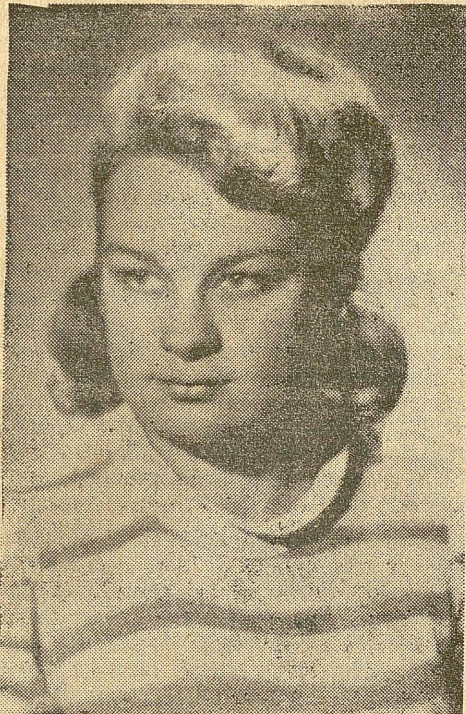
Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wydawniczej „Czytelnik”.

D-06531

Drukarnia Nr 4, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Łódź, Żwirki 2.

ANNA KAMIEŃSKA

PROZA POETYCKA



Anna Kamińska, urodzona w r. 1920, w Krasnymstawie (woj. lubelskie), ukończyła gimnazjum w Lublinie, a następnie, chcąc poświęcić się pracy nauczycielskiej, licencjum pedagogiczne w Warszawie. W czasie okupacji pisała sztuki teatralne dla dzieci; trzy z nich, m. in. „Jasneka” i „Sceny wiosenne” były grane przez dzieci dla dzieci, — opracowane z współudziałem autorki, w napałotajemnych przedstawieniach w Zakładzie św. Stanisława w Lublinie. Jako poetka debiutowała w „Antologii młodych poetów lubelskich”, wydanej przez ZZLP w roku 1944, po czym większość utworów drukowała we „Wsi” (m. in. sztukę „Dożynki”), po czym wiersze w „Odrodzeniu” i „Świątyni lubelskiej”.

Kamińska należy do najmłodszego pokolenia naszych pisarzy. Była jednym z pierwszych współpracowników „Wsi”; jako poetka jest ona reprezentantem nowego typu twórczości ludowej, łączącej wysoką świadomość intelektualną, pełne przygotowanie naukowo-literackie, wreszcie tradycję najnowszych, postępowych osiągnięć literatury współczesnej — z poczuciem misji społecznej, z celowym nastawieniem na służbę kulturze chłopskiej, z wysiłkiem opanowania nowoczesnymi środkami poetyckimi tematyki ludowej. Podobnie jak młody chłop-polonista i poeta z łowickiego, Piotr Ziarnik, jak młody chłop i badacz literatury polskiej, Józef Spytkowski — jest ona przedstawicielką awangardy młodego pokolenia ludowego — pokolenia wykształconej i współczesnej kultury chłopskiej.

POEZJA

Cóż? żurawie patrzące w niebo,
chmury wam się rymują łatwo, drzenie
wieczornego powietrza poddaje rytmy,
dym rodzinny ognia opuszcza głowę.

Cóż wam po ciężko skleconym zdaniu,
które mozolnie niosę?

Może wyjrzy z niego twarz ludzka...

Taka będzie poezja.

WTEDY

O, jak czyste zachody, jakie wrożą
nieba. W słojach powietrza stygną ptaki,
serce prostuje się struną.

Lecz dopiero WTEDY, gdy punkt
horyzontu rozwija się dymem ludzkiego
komina —
chwytam za pióro.

WIOSNA

Las jest w kraju północnym.

Kiedy nastaje wiosna, mgła chodzi
między drzewami jak duch śniegu. Nad
wodą przystają zwierzęta, aby ujrzeć
w zwierciadle swą miłosną piękność.
Wyżej kołysz się złote pręciki liwni,
wyżej gwizd ptaka obiecujący szczęście.

A ty ciągle namyślasz się i wahasz,
aż suchy liść dębu, ten, którego nie
zmogły burze zimowe odrzucić od
gałęzi, pada na wodę i maści odbicie.

W SZKOLE

Każde z dzieci narysuj to, co chciałoby
robić najbardziej.

Franek: pniak bodący obłoki, a u
stóp jego dwaj człowieczkowie trudzą
się przystosowaniem go do przemiany
w żarliwą energię, która rozszumi
gańek złotej zupy. Obaj pomimo cię-

żaru dźwiganych guzików w lekkim za-
wiśnięciu powalają drzewo dotknię-
ciem siekierki.

Heniek: jak powietrzna, jak prze-
strzenna jest fryzjerna. Ten długi szereg
osób niesie swe przerosłe głowy
ku centralnemu punktowi — koło krze-
sla z wygiętym oparciem trzęsie gałę-
ziami siedmiu ramion wzbudzony fryz-
jer.

Mania: te garnuszki i te miseczki
roztoczyła dokładność miłości: ten z
uchem, a tamten z dwoma, na tej
pstrzy się kwiatek, na innej falisty
meander, a z góry fajerki padają, jak
wielkie krople rosę.

Jaś: nie sądzę, że instrument to zdolny
do czystej muzyki, udowodnię, że
to koń, choć w czasie rozrósł się tak
bardzo, że zabrakło miejsca dla czło-
wieka bronującego po orce.

A ty — cóż narysujesz? Jaką linią
otoczysz kształt swego trudu? Jeśli nie
wyobrazisz brony, młockarni, garnka
— narzędzi ludzkiego ruchu, może tłu- maczyć się będziesz długo, że pusta pla- ma twej kartki — to obłok. |

JESIEŃ

Bujny wiatr łopocze o północną ścia-
nę, gwiazdy miewie.

Dobrze wpaść w gromadę gorącą od
gwaru, dobrze i na żarty kobiecie —
dziewczyny ostro, gorzej baby cię
dotkną — dobrze na koleżeńskie umo-
wy.

Szparami śmiechy w noc się sączą,
strzępi je wiatr w sadzie.

Do sadu wyszła dawno przekwitłe-
go, chusteczkę wiatr jej zerwał — liść
ostatni.

Nie uciekaj od ludzi.

Chodźże do gromady.

Czy tak żałujesz pocałunku, coś mi
dała?

DROGOWSKAZ

Drogowskaz: idąc dalej dojdiesz
do wioski. Leży ona pod sosnami w
kałuży cienia, po której pływają wro-
nie pióra. Gasną kwiaty pod ułomka-
mi chatup i zaczyna się zima.

Dzieci czerwonymi rączkami rozdra-
pią ostatnie platy kory — i drzewa
jak nagle żyły zadrzą szarpane wia-
trem. Będzie z tego muzyka dla bez-
litosnego ucha.

Drogowskaz: tkwiący ciężkim ser-
cem na dnie wioski patrzę, jak sło-
stra uśmiechem zapala lampę na ko-
minie.

MIŁOŚĆ

Kto by obwiniał nas o zatopienie
się w sobie:

Kipi zgromadzenie chłopskie w
czworackiej izbie z uderzeniami pię-
ści i wybuchami śmiechu. Bo wali się
budynki szkolny, a raniomy żołnierz
armii narodowej runął w przepaść.

Tym emocjom nie wyznaczono miej-
sca w słownikach. A my ocaliliśmy je
w żyłach dzięki temu, że w chwili tej
nad sceptyczny spokój ducha przemie-
śliśmy wzburzenie wyobraźni, czujność
nerwów i napór krwi.

GARNCARZ

Pod niebem garncarz wywyższony
bosą stopą kręci koło. Niżej zaś sto-
ją garnki, garnuszki i miski. Jedne chro-
pawie, inne już lśniące od polewy jak
ziemia po deszczu. Jeśli poniesie je na
targ w wymoszczonych sianem kocioł-
kach, za gońek zapłacą, nie za formę.
Raduje to jego serce trudzące się bez-
interesownie.

Głina pryska na liście chmielu, ruda-
wy deszcz otacza robotnika. Palec
światła z nieba wodzi uważnie po po-
wierzechniach wklęsłych i wypukłych,
a potem powtarza je sobie na obło-
kach linią idealniejszą.

NA FRONT

Europa przysypana śniegiem, psy
węszyć zmierzch biały kurz wznosząc
spod nóg.

Północne paruje morze — niżej ta
cienka smuga, to z naszego wagonu
dym, z piecyka, na którym kurzy się
święteczna potrawa — dwa cukrowe
buraki przywarłe do rozpalonej bla-
chy.

Pięciu nas skupionych czujnie w po-
dróży na front — pięciu do walki ze
stalowym barbarzyńcą.

Mknij wagonik — prując białawe
światło nocy. Wiatr odnosi turkot roz-
strzępiony na długie pasma.

Pięciu i pięć zwierząt chucha nam
w schyłkowe szyje.

Te gruzła pod chmurami to miasta.
Omija je kręgiem bojowy nasz pociąg
— podmuch dalekiej burzy.

He, he, kielbasa, skwierczy przypa-
lony cukier. Pali czoło opadłe na czer-
woną ruszt. Konie tupią i uszami
strzyżą na sny ludzi.

Pięciu nas do walki z wrogiem
czującej ludzkości. Karabiny telepią
się na hakach. Mus.

I jak wschód borealnej zorzy pion-
owy blask przez szparę zakutego wago-
nu sunie po śniegu Europy.

NALOT NOCNY

Noc ciemna. Nocą kołysz się w chmu-
rach skrzydło nieprzyjacielskiej eska-
dry. W trwodze podrywane ku górze
dachy domostw.

Młoda rodzina usnęła w cieniu spa-
dającej bomby:

Czoło męża szlachetnie umieszczone ku
wrogim ciocom i pierś jego dźwigają-
ca ciężar kobiecego snienia — matki
ramię wygięte wkrąg ponad oddechem
dziecka — oto ludzkość w sekundzie
znaczonej granicą czasu, oto pokój i
prawość, narodowy przedsen już o
mgnienie powieki bliski przebudzenia.

Ile tęsknoty w żarliwości żołnierza
dźwigającego pocisk armatni — tyle
ożywczy spełnionej w zapłocie mał-
żeńskim snu — za chwilę rozdarte go
w ciepłe strzępy.

Tymczasem — na pole, na śnieg, mi-
ła ojczyzno, gdzie wzgórki zranionej
ziemi zasklepiają się łatwiej od ciał,
gdzie zamiast gorących uroków Jeru-
zalem otwiera się zimny raj dwóch
szarżujących w biele kolein, którymi
sunie cicho ciężki czołg i rwie się w
mrozie ostry śpiew zbrojnych.

DO
MŁODEGO PARTYZANTA

Jak płonącą zapałkę nosi cię wojna
od lat pięciu. Spać ci pozwala w ro-
wach błotnistych, a zamiast rozmów
platońskich (sermones), które przy-
stoją twemu wiekowi, czytać ci daje w
okruciastych własnej wyobraźni,
gdzie mierzysz do zabitego już wro-
ga dźwiąc się jego nieruchomości
i gdzie własna twoja głowa oddawna
nie chroniona pieczęcią matki odpry-
skuje od ciała utopiona we krwi.

Tymczasem pędzisz dalej — i prag-
nienie ciepłego ciała wydaje ci się tra-
gicznym problemem istnienia, dla któ-
rego warto oddać rozsądek, jak dla
ożywczy życie.

Tymczasem — czy nie ma już miej-
sca na ziemi, gdzie by w cieniu liceal-
nych platanów chłopcy podobni do cie-
bie odnajdywali jasne problemy mate-
matyki?

Padaj u boku serdeczny kolega i
twoje faszystowskie serce szumi na
trupogę.

WOJCIECH NATANSON

„Lidowa suita”

Wspomnienie z czeskiego teatru.

A. M. Swinarski zamieścił niedawno w „O-
drodzeniu” interesujący artykuł o czeskim te-
atrze Emila Buriana. Jest to — i był już
przed wojną — jeden z najbardziej interesu-
jących i pomysłowych, najśmielszych teatrów
w Europie. Teatr eksperymentów i awangar-
dy, teatr nowych pomysłów. Swinarski nazwał
go żartobliwie „teatrem przyszłego roku”,
gdyż nazwa teatru jest „antydatowana”, dziś
brzmi: „Teatr 1946”, a w roku przyszłym
brzmieć będzie „Divadlo 1947”.

Dla czytelników „Wsi” będzie może intere-
sującym fakt, że w roku 1938, w momencie
dla Czechosłowacji przełomowym i tragicz-
nym, ów najbardziej nowoczesny teatr czeski
wystawił widowisko pt. „Lidowa suita”. By-
łem na tym przedstawieniu, zachęcony przez
czeskich znajomych. Zdumiał mnie i zachwy-
ciły rezultaty artystyczne tej współpracy a-
wangardowego teatru z twórczością ludową.
Osiągnięto owe rezultaty środkami zdumie-
wajaco prostymi.

Do teatru „przyszłego roku” schodziło się
wtedy po schodkach. Sala była niewielka,
skromna, bardzo spokojna. Kurtyny nie było,
przedstawienie odbywało się niemal zupełnie
bez dekoracji. Na tylnym planie stał rodzaj
oświetlonego rusztowania; mieściła się tam
niewielka — z kilku zaledwie złożona osób-
orkiestra.

Uderza gong, światła na widowni gasną, za-
palają się na scenie. Ale aktorzy nie wycho-
dzą zza kulis. Zwartym szykiem, gęsiego, chó-
ralnie śpiewając, suną od strony widowni. Na
czele król, potem kanclerz, dwóch katów z
mieczami, św. Dorota, Anioł; na końcu, przy-
brany w skóry niedźwiedzie — czart. Rytmic-
znym krokiem orszak ten przekracza salę,
po schodkach wstępuje na scenę, okraża ją
kilkakrotnie, ciągle przytem śpiewając ludo-
we pieśni o św. Dorocie Męczennicy. Ten po-
chód śpiewny od widowni ku scenie posiadał —
wolno przypuszczać — znaczenie teatralno-
symboliczne. Wyrażał myśl, że misteria ludo-
we wyszły istotnie z ludu; że stworzyła je
wyobraźnia widzów.

Ale wróćmy do widowiska. Zaczyna się sta-
roczeska „Hra o svate Dorote”. Król Africius
proponuje św. Dorocie małżeństwo i władzę za
cenę — wyrzeczenia się wiary. Święta nie chce
zdradzić Chrystusa. Nie pomagają obietnice,
ani groźby; wreszcie podburzony przez dia-
bla król Africius wydaje na oporną wyrok
śmierci. Ale po tej egzekucji, wierny dotych-
czas i lojalny wykonawca woli królewskiej,
kanclerz Dufil odczuwa wyrzuty sumienia,
smutek i żal. Składa swój urząd, rzuca kró-
lowi pod nogi insygnia władzy. Taka dymisja
— to bunt. Africius (znów za podszeptem dia-
bla) skazuje także i Dufila na karę śmierci.
Po egzekucji kanclerz idzie do nieba, gdzie
spotyka umiłowaną Dorotę. A król Africius
zostaje sam — z katami.

Taka była treść ludowej sztuki, zacerpnię-
tej z uczniowskich misterii średniowiecz-
nych, ale głęboko przetworzonej i przepra-
cowanej przez twórczość ludową. Teatr Buria-
na wystawił ten utwór w sposób interesujący.
Z jednej strony chodziło o to, by jak najwier-
niej odtworzyć nastrój autentycznego przed-
stawienia ludowego: starano się nie niszczyć
tego wzruszającego uroku, tego nieświadome-
go piękna, które zawiera folklor. Król Afri-
cius był rozkapryszonym, niegrzecznym chło-
pakiem, a zarazem czymś w rodzaju szopko-
wego Heroda; kanclerz Dufil miał smutną
twarz dziecka, pogrążonego w krainie ma-
rzeń; Święta Dorota powtarzała refren swej
pieśni coraz uporczywiej, heroiczniej, wytrwa-
lej; urastała powoli do rozmiarów symbolu,
jak Księża Niezłomny, czy Joanna d'Arc.

Ale równocześnie aktorzy czescy używali
nawskroś nowoczesnych środków ekspresji ak-
torskiej. Stany duchowe, konflikty, wydarze-
nia wyrażane były przy pomocy ruchów pe-
nych malowniczości, harmonii i wymowy.
Śpiew i taniec odgrywały tu rolę pierwszo-
rzędną. Np. sceny egzekucji zaznaczono po-
mysłowym tańcem mieczów i rytmem stąpa-
jących butów. Publiczność czeska przyjmowa-
ła tę sztukę niezwykle gorąco; aktorzy byli
wywoływani po 5, 6 i 10 razy. Wiele osób
miało w oczach łzy wzruszenia.

Po pauzie — zupełnie inny styl gry i inne
widowisko. „Saliczka”, to jeden z tych pus-
tych żartów, które dziewczęta układały sobie
na Morawach w czasie zabaw, przypominają-
cych naszego „podkoziolka”. Sztuczka jest na-
wskroś feministyczna; wszystkie role grają
kobiety. Są to postaci: żony, starego zdraź-
nego męża i żołnierza — kochanka. Ale wła-
stwym bohaterem była — służąca, owa właś-
nie „Saliczka”, która imieniem swoim ochrz-
ciła sztukę. Jest ruchliwa, zwinną, wszędo-
bylska, sprytna i pełna energii, jak u Moliere
czy Marivaux.

Trzecia sztuka tego widowiska, słowacki
„Bachus”, mniej już był interesujący. Ale
równocześnie główny teatr praski „Narodne
Divadlo” grał „ludowego Fredrę” (jak go na-
zywają Czesi) — Klicperę, a czescy poeci a-
wanguardowi wydawali ludowe poezje.

Przykłady wysoce znamienne.

RYSZARD MATUSZEWSKI

Poezja wiejskiego krajobrazu i sielanki

(o wierszach Józefa Stachowskiego)

Atakując tradycje ziemiańskie w poezji opiewającej wieś, Jan Aleksander Król zachęcał o zagadnienie, nasuwające się przy lekturze wszelkich wsi tej chwalców. Chodzi o to, czy odczucie piękna wiejskiej przyrody i przefiltrowanie poetyckie obrazu wsi w ten sposób, że na boku pozostaną — trud, żal, gniew i boleść, a przezwycięży wszystko olśniewające porażenie blaskiem jej piękności, czy takie stanowisko, jest, może być, w pewnych wypadkach, postawą poety chłopskiego? Inaczej mówiąc i prościej: chłop, który orze ziemię, karmi bydło, wywozi gnój, na pole i „haruje” — może się zachwycić bez udziału fałszywych, z pracy jego się wywodzących, tego zachwyty zamaceń? Pytanie to rodzi się w nas i domaga odpowiedzi, gdy przeczucamy stronie niewydanego zbioru poezji samym tytułem wskazującego na swą genezę — wierszy Józefa Stachowskiego, których przygotowany do druku tom nosi nazwę „Ku ziemi”.

Kim był Józef Stachowski? Był, gdyż nie ma go już wśród nas, zginął tragicznie, równo rok temu, doczekawszy wyzwolenia tylko części naszej Ojczyzny. Był inteligentem, synem chłopca, wyjątkowo silnie z wsią związanym, choć związek to był więcej uczuciowo-poetycki niż programowy, wyrażony w pracy czy walce. Stachowski skończył gimnazjum w rodzinnym Garwolinie, polonistykę na warszawskim uniwersytecie, był nauczycielem w Warszawie, ale kontaktu z wsią nigdy nie zaciął, przebywał na niej po parę miesięcy w roku, biorąc udział w pracach rolnych swych braci, kilkohektarowych gospodarzy w garwolińskim.

Jako pisarz rozwijać się zaczął parę lat przed wojną w środowisku poetów.

Związek Stachowskiego z Czechowiczem był istotny, gdyż wypływał z podobnego podejścia do zagadnień poetyckich. Stachowski tak samo jak Czechowicz opierał swą poetykę na fantazjotwórstwie, u podłoża którego leżała postawa zachwyty, serdeczności i oddania rzeczom, które z pod ich pióra miały wyjść przemienione, oczyszczone i odrealnione. Zarówno metafora, której śmiałość Czechowicz przejmował od poetów awangardy, jak melodyjność i rytmiczność, która cechuje wiersze obu poetów służą zadaniu stworzenia liryki urzekającej swą pięknoscia, choć może w piękności tej zawarta jest bardzo osobista rawda spojrzenia na rzeczywistość.

W roku 1939, przed samą wojną, Stachowski wydaje tom wierszy pt. „Jaworowa baśń”, zawierający część młodzieńczych jego wierszy oraz utwory powstałe właśnie w okresie najbliższego obcowania z Czechowiczem.

Druga epoka twórczości Stachowskiego, epoka wojenna, której rezultatem jest bogaty zbiór utworów z lat 1939—1944 świadczy o wielkim ambitnym wysiłku poety, dążącego do wypracowania w sobie nowych, właściwych form wypowiedzenia się. Starcie się ze sobą dwóch rzeczy tak różnych jak świat fantastyki i baśni, w sferze której powstaje poezja Stachowskiego przed wojną, z grozą wydarzeń, jakie wstrząsają światem od chwili jej wybuchu, stawia poetę wobec konieczności rewizji założeń poetyckich. Zarówno z wierszy powstałych w tym czasie, jak z licznych wypowiedzi ich autora, wiemy, że zdawał on sobie z tego sprawę, że było to największą jego troską. Ujmował tę sprawę jako zagadnienie wprowadzenia człowieka do poezji. Tej sprawie właściwie poświęcił cały tom „Ku ziemi”. Złanie się poezji krajobrazu i sielanki z wizją tragicznego świata lat wojennych dokonywała się głęboko pod powierzchnią słów: przeżycia wojenne nie rodzą obrazu bezpośredniego, lecz przenikają w ukrytych już styl poetycki Stachowskiego, który dopiero powoli i nieznacznie dzięki nim się przekształca i nabiera realności.

Marzeniem poety jest dojście do spokojnej, epickiej wizji świata, która jednak osiągnąć pragnie bez rezygnacji z elementów fantastyki i zdobnictwa, które zbliżają jego twórczość do twórczości Czechowicza oraz Miłosza, Zagórskiego, dwóch poetów, z którymi po śmierci Czechowicza ma najbliższy kontakt literacki.

Tę wizję oraz wzór poetycki człowieka, takiego, jakiego pragnie przedstawić w swojej poezji odnajduje Stachowski w obrazie wsi, kraju, do którego wciąż powraca, któremu poświęca cykl wierszy pt. „Powrót”, pełen chęci uwypakowania związku z ziemią rodzinną i ludźmi, którzy ją zamieszkują. Dopracowania się form ostatecznych tych zamierzeń nie danym mu było niestety doczekać.

Śmierć Stachowskiego w pięć lat po śmierci Czechowicza sprawiła, że nagle znikła w nader ubogim obrazie naszej poezji powojennej jedna z jej form bardzo może odmiennych od tego, o co nawołują dzisiaj reformatorzy poezji w du-

chu realizmu, ale bardzo istotnych i charakterystycznych, zwłaszcza, jeśli chodzi o oddanie klimatu, towarzyszącego twórczości poetów wyrosłych ze środowiska chłopskiego i ze środowiskiem tym związanych. Nie ma w tym przypadku, że do Czechowicza lgnęli, prócz Stachowskiego także i inni pisarze wiejscy, jak choćby w początkach swej twórczości — Stanisław Piętak. Istnienie i kształtowanie się tego sposobu widzenia wsi, jaki spotykamy u Stachowskiego, a także np. u „autentysty” Ożoga i Fraska wskazuje na fakt, że postawa bliska tej, jaka cechowała niektóre sielskie liryki Jana z Czarnolasu (wyłączając oczywiście przejawy, związane wyraźnie z jego szla-

checką przynależnością stanową) nie obca jest poetom wsi. Sielskość w znaczeniu ciepła uczuciowego, delikatności, może sentymentalnej dobroci są to produkty, jakie wytwarza atmosfera kół młodzieży w przeciwieństwie do brutalnej, często bandyckiej „kawalerki” wiejskiej. W rozwoju historycznym wsi trzeba umieć zrozumieć i docenić ten klimat. Ład, praworządność, obowiązkowość, to są wartości, które w młodym pokoleniu realizują się poprzez sentymentalne sprzyjanie, inaczej zatem, niż w Czechach np., gdzie czynnikiem spajającym bywa oświecone wyrachowanie, ale myślny ani szkoły niemieckiego pedantyzmu nie przeszli, ani uprzemysłowienia wsi.

JÓZEF STACHOWSKI

Niedziela

Jak chłopcy zamyśleni nad albumem marek
śledzą barwy złotawe, zielone i modre
na mapach, odbywając dalekie podróże
przez rzeki — tam, gdzie żółwie drzemią pod oparem
mgieł, a rośli tubylcy w opaskach na biodrach
z ruin zburzonych grodów rwą czerwone róże,
tak ja, gdy mijam niegdyś widywane twarze
staram się los ich czytać jak czyta się z książki.
Idą młode kobiety w świegocącym swarze
jaskółek, co w powietrzu kreśląc ciemne prążki
dziergają chytre oka niewidzialnej sieci
nad jasnymi głowami, ciepły wiatr poranny
wydmuchuje pogodę jakby na organkach,
na liściach starej wierzy, potem w górę leci
by upaść znów w doliny i pasma rozwinanych
ułosów złożyć na gwiazdkach pól, śnieżnych rumiankach,
aż wreszcie świat bezruchu staje w letniej bieli.
Kaźda z kobiet w liliowe dzwonki lekko dzwoni
i kaźda z sobą niesie jak to przy niedzieli
niby zamorskich ptaków puch, pełni piwonii.
Mężczyźni w ciemnych strojach, glansowanych butach
stawiają długie kroki sztywno jak bociany
za nimi drobi młodzież, jak muzyk po nutach
klawiszów, gdy chce dobrać radość z farteplanu
bo potrzeba wydażyć w biegu za ojcami.
Dokąd śpieszą? Czy pragną zdobywać niebios
wykute na sklepieniu niskiego kościoła,
gdzie święty Piotr otwiera posrebrzane bramy,
a anieli niebiescy w malowanych wozach
jadą obłoki wioząc na błękitnych kołach,
czy pragną prosić o coś? O już wiem, poznałem
z kosych spojrzeń, z zaciętych warg, upartych ramion...
wczoraj lżyli się wzajem, uniesieni szaleń,
pijani, bezrozumni złorzecząc i klamiąc,
a dzisiaj cisi tak jak biblijne jagnięta
idą razem po łaskę jak po zapach kwiatów,
by jutro znowu grzeszyć. Lecz Ty nie pamiętaj
im, o Panie, ukryty pośród aromatów
lip, gdzie na Boże Ciało, stawiano ołtarze
łśniąc w zorzy rozchodników. Niechaj dobre moce
oddalą z kraju tego rozkosz zabijania
i niech pokornym pokorą wszystkim się ukaże,
sen krzepiący im ześlij w kainowe noce,
z drogi mlecznej spłyni ku nim w kryształowych saniach.

Wies

Mali chłopcy lekko stopkami
szron stręcali, co w sadzie kwitł,
opadała gołębia zamć
biało jak świt.

W chatach złote płonęło drzewo,
Urzeczony fontanną skier
rudy kundel w milczeniu ziewał
pysk złożyszysy na pierś.

O, jak bardzo pragnęła wieś
w ciszy nisko ku ziemi przypaść,
warkocz śniegu za oknem pleść
słuchać soków krążących w lipach.

Lecz z Zachodu wciąż pomruk szedł
i widziano krzyże ogniste.
Oszalały Łeba i Ren
aż je musiał zamawiać Chrystus.

Opadł Stwórca groźnie jak jastrząb,
twardą skałę szponami kuł,
powstawały zburzone miasta
nie ustał przecież ból.

Więc wybrali się chłopcy do Panny
Śnieżnej,
co wśród skrzydeł motyli brodzi:
niech umilknę wrzawa oręża
dobry pokój niechaj rodzi.

MODLITWA

Poraż serce Ty, któryś Duch.
zwierzą stada znów w ludzi zamień
a nie pozwól by człowiek głuch,
kiedy piękna skryje go namiot.

Marysi

Mile są młode wilczeta
i mają sierść puszystą,
jakże ci teraz pamiętać
zieloną przystań.

Gwiazdy kąpały się w wodzie,
jak białe panny,
a księżyc za nimi chodził
w kwiatach dziewanny.

Gdy dotkną dłonią jarzębin,
upadnie koral,
potoczy się kragła czerwień
w serce wieczoru.

Brzegi, niedobre brzegi,
znowu na jawie,
jak kule białego śniegu
błyszczą dmuchawiec.

W granatach lub w mocnej czerni
zastygły buki —
O, zniszcz tę nitkę, przerwij,
co w złote smugi.

Przypatrz się biednej wilczycy,
gdy prószysz łzami,
przypatrz się, dobrze przypatrz,
nie daj się mamić.

Głosy pisarzy

TEODOR GOŹDZIKIEWICZ

Przemiany

Okres najwyższego rozkwitu piśmiennictwa polskiego — druga połowa XIX stulecia — jest zarazem okresem początku życia umysłowego warstwy chłopskiej. Sprzyjał temu cały szereg czynników. Wyraźne powstanie w Polsce dużych ośrodków miejskich i narastanie świadomości warstwy robotniczej, rekrutującej się przeważnie ze wsi. Warstwa ta utrzymuje z miejscem pochodzenia kontakt rodzinny, a sama podlega tym wielkim ruchom społecznym, jakie wówczas mają miejsce: socjalizmowi. Do tego dochodzi stosunkowo duża powszechność taniej gazety popularnej. Następnie ma pewne swoje znaczenie akcja filantropijna jednostek, typu bohaterów Żeromskiego: „schodzenie w lud”. Wreszcie — szkoły takie, jakie były w owych czasach, ocołkolwiek powszechniejsze.

Po pierwszej wojnie światowej państwo polskie i stosunkowo duża w porównaniu z ubiegłymi stuleciami demokratyzacja życia wewnętrznego kraju styka masowo ludzi wiejskich ze szkołą powszechną, średnią i wyższą. Jako skutek tego w kaźdą dziedzinę życia społeczeństwa wchodzi synowie wsi: inżynierowie, lekarze, prawnicy, nauczyciele, i również w dziedzinę literatury: pisarze. Rzecz tylko w tym, czy to dużo czy mało. Jest to zależne od stanowiska, z którego będziemy oceniać. Jeśli weźmiemy liczbowo masę chłopską i jej możliwości — bezwzględnie mało. Jeśli natomiast uwzględnimy krótkość oddziaływania kulturalnego na wieś — dwadzieścia kilka lat — ów skok przez pokolenia jest w tej perspektywie nie mały. Dział zupełnie analfabeta, ojciec półanalfabeta lub samouk, syn wychowanek szkoły polskiej sięga po laury pisarza narodowego. Uderzający jest ten awans. Jest to naturalne ujęcie sił twórczych warstwy społecznej, która przez wieki żyła w uśpieniu i wrodzone czynniki duchowe przekazywała potomnym w stanie ułajonym.

**

Literatura polska dawniejsza jest literaturą szlachecko - mieszczańską. Nie mówmy tego w formie zarzutu — stwierdzamy fakt nieobalony. Tworzyli ją ludzie wywodzący się osobowo z tych warstw uprzywilejowanych lub zasymilowani z tymi warstwami. Nie mówiąc o tematyce dworu i ganeczku z dzikim winem. Była to polska literatura stanowa stanu mniejszego liczebnie, któremu układ prawno - majątkowy gwarantował dostęp do źródeł i dobrodziejstw nauki.

Ruchy społeczne i polityczne starły granice stanów. Dziś stanów nie ma. Są tylko środowiska: miejskie i wiejskie. Dzisiaj pisarze chłopscy łączą w sobie z jednej strony żywioł wsi nadany przez urodzenie i wychowanie w młodych latach i żywioł miasta wchłonięty przez ciąg czasu przebywania w szkole. Jeden lub drugi czynnik w różnym występują nasileniu, ale odzywa się tak wyraźnie w kaźdym, że nie sposób go zignorować.

List do redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!
Pragnę Panu donieść o losie mojej powieści „Diabeł w Anielowie”, przyjętej przez Pana do druku i częściowo wydrukowanej w tygodniku „Chłopi”.

Te pięć odcinków zrobiły to, że duża szwedzka firma (Sztokholm) zwróciła się do mnie za pośrednictwem swego agenta w Warszawie z propozycją wydania po szwedzku całej powieści (2 tomy) w 20 tys. egzemplarzach. Proszę przyjąć moje zapewnienie, że sukces ten będzie naszym wspólnym sukcesem.

Obecnie posyłam Panu fragment drugiej powieści pt.: „Ghetto i las”. Mam też zamiar przysłać dla „Wsi” krótki fragment „Diabła w Anielowie”, oczywiście nowy, niedrukowany w „Chłopach”.

Zawsze przyjazny

(—) A. Junosza - Gzowski.

„Hej kołeda, kołeda...”

Wysła z druku broszura pt. „Hej, kołeda, kołeda”, opracowana przez Piotra Greniuka i Marianą Mikutę, zawierająca inscenizacje, koledy i wiersze na obchody bożonarodzeniowe. Broszurę tę, w cenie 30 zł za egzemplarz (z przesyłką 40), nabywać można w Wydziale Oświaty Rolniczej Wojew. Urzędu Ziemi w Łodzi, ul. Traugutta 14. Należność wpłacać na konto PKO w Łodzi nr 801. Przy zakupie większej ilości egzemplarzy udzielana jest zniżka.

JÓZEF POGAN

Niebieski dekret

Legenda o reformie rolnej

Zamiast wstępu

Halemba, dn. 17.12. 1945 r.
WIELE SZANOWNY PANIE
REDAKTORZE!

Przygotowując się do zawodu pisarskiego, chciałem zbadać wszystkie dziedziny życia wiejskiego i w tym właśnie celu, w r. 1944 przyjąłem służbę stróża nocnego w majątku Stefana Skrzyńskiego (syn b. ministra) w Więckowicach pod Krakowem, gdzie przebyłem kilka miesięcy.

Z nagromadzonych tam obserwacji napisałem legendarną nowelę, którą w załączeniu przesyłam. Pragnę, by ta nowela jak najprędzej ukazała się we „Wsi”, bo jest ona nie tylko odzwierciedleniem krzywd wiejskiej biedoty, ale i pewnym przypieczętowaniem zrealizowanych chłopskich postulatów.

JÓZEF POGAN

We wsi niedaleko kościoła był bogaty dwór. Należało do niego wycy, niz połowa całej przestrzeni wiejskiej, bo pięćset morgów urodzajnej ziemi, sto morgów łąki i trzysta lasu. Wokoło zabudowań dworskich oprowadzone były mury, a nad nimi ogromne lipy i kasztany zasłaniały ode wsi nietylko nędzne cworoki, ale i pański pałac.

Wiejsko biedota, a nawet i bogatsi gospodarze zozdrosnym okiem na te bogactwa spoglądali i stale na niesprawiedliwość światową narzekali. Służba dworska, bezrolni i małorolni biedoki zawdy coś z tego bogactwa pokrywano uskuźnili: tyn ścion patyka w lesie, tamtyn zaś ukrzesł se choiny na świerku, inny znou ugrabł se brzemianko liście, jescze ktoś uzbiorł chróstu, itd.

Rządca, praktykant, karbowy, połowy, gajowy i stróż nocny pilnowali dobytku pana, i często donosili mu o kradzieży, choć prowadzić, to i oni tyz mieli smole w rękach.

Dziedzic żył z proboszczym w wielgi przyjaźni i zawdy sie nawzajem odwiedzali: rozgościł dziedzic księdza, drugi roz ksiądz dziedzica i zawdy se przy winie, likierak i smacnyk ciostkak o swoik „boląkak zyciowyk” opowiadali. Dziedzic uboliwoł na niscacyk go ludzi, co to nie sanujo cudzy własności, a ksiądz na grzysne duse parafian. Węc tyz od casu do casu napomnił z ambony o ty kradzieży dworskiego mienie. Juźci nie wypomiń, kto to robi i kumu, ale dawoł do tego tak wyraźne przytyki, ze nawet głupi domyślł się o co chodzi. A krzycoł głośno i potepiōł grzysnikōw nie przestrzegajacych siōdmego przykozano. Dziedzic siedziōł zawdy w kościele we fotelu z boku ołtarza i jedynym okiem zerkoł pogardliwie na biedno, podło hołote.

Bogatsi ludzie spoglądali wtedy na fernali i biedokōw z pewną wyższością, bo wiedzieli, ze to ksiądz o nik prawi kozanie. Gospodarze nie tyle mieli lo nik pogarde za kradzież, ile ik ponizali za to, ze muso kraś chochy nie kcieli, bo są biedokami, a nawet działami.

Oskarżenia biedokōw o kradzież i ik prośby o przebaczenie grzechów bez przerwy ulatowały do Boga. Ze On nie wiedz o kumu wierzyć. Postanowił więc zbadać te sprawy dokumentnie i na wieki rozstrzygnąć. Woło więc przed siebie św. Izydora i godo mu: — Sluchaj, byleś na ziemi rolnikiem, znas wieś i dwór na wylot. Deleguje cie przeto jako inspektora do dworu, byś sie przekonał naocznie jak sie ta sprawa faktycznie przedstawia. Pobiedz tam cale lato. Obserwuj wszystkie krzywdy wyrządzane służbie dworskiej, robotnikom i skody dziedzicowi i badać przyczyny kradzieży. Zaglądaj zawdy do cworoków, do stodół, do stajen, wychodź w pole do robotnikōw, do lasu i wszędy. Wszystkie co spostrzeczysz zapisuj do księgi, a jak wrócisz do nieba, to mi te sprawy przedlozys. Co do Twoi Osoby — daje Ci swobode: mozes bās duchym niewidzialnym, mozes tyz przemienias sie w ziemskiego człowieka.

Tego jescze dnia św. Izydor zloz z nieba na ziemie. Była prawie szósto godzina rano jak wsed za brame na dworskie podworze. Fernal akurak wyjezdził w pole orać, bo to był początek kwietnia. Święty przyzroł im sie, porachowōł konie i posed przed pałac dziedzica, tam se usiod w gonku w miekuskim fotelu i ogzłodo sie wokoło. Spodobało mu sie bardzo i pomyslił se, ze tu nawet nie gorzy mu bedzie jak w niebie. Zaduśmoł sie głęboko nad tym, ze to niktōrzy ludzie tyz majo raj na ziemi. Zapragnił najpierw poznać dziedzica, ale on jescze spał. Węc pospacyrował se po ogrodzie, a

następnie wyzroł za stodół. Tam robotnicy wybierali z kopców. Święty usiad se na boku i obserwuje. Nad pracujacy mi ludziami stoi karbowy z lagą. Dysc ciaple ze śniegiem, zimnisko a ludziska kuso skulone kole kopców i zdrtwiały mi rękami wybierają ziemnioki.

Św. Izydor wrócił przed pałac. Ale dziedzic jescze społ. Dopiero po dziewiaty godzinie wysed do ogrodu. Przed nim leciato trzek jamnikōw i dwōk innyk małyk pieskōw, więc domyślł sie, ze to dziedzic, więc przemienił sie w chłopca, uklonił mu sie nizko i prosi o coś. Ale dziedzic odrzek, ze teroz wyjezdzo kaś i kozoł mu przyś pōni. Węc Święty wrócił nazod do robotnikōw przy kopcak. Obserwowōł ik do południa, bo sie kciōł przekonać, cy bedo brać ziemnioki jak podo na obiod.

O dwunosty godzinie, slychać zwonek i karbowy woło: „obiod”! Robotnicy ozchodz se pēpiesnie, ale karbowy zatrzymuje ik, wywijo lagą i kazuje wysypać z kosykōw ziemnioki, co se niktōrzy na dnie po trosku poostawiali. Tymu i owymu wysypōł, przyloł po grzbiecie, ale niktōrym udało sie umknąć.

Święty myśli se: — Kradno, ale kto wie, jakie tu są tego pobudki? Trza to zbadać. Zapamietał se kazdygo i chodzi od chałupy do chałupy. Wsed do jedny — tam matka godo do córki: — Ni mogłaś to wiecej przynieść?... Przecie widziś, ze juz ni mamy co jeś, a o sadzniu to skoda godać... Grzechu sie nie bōj, bo przecie ani połowy tego dziedzic ci nie placi, co po sprawiedliwości zarobias... Ledwie, ze na jołowe jodło zarobis, a kaz smaty, co zedres przy robocie?...

— Nic dziwnego — myśli se święty — bo jak dziedzic kiepsko placi, to se dzioucha wziena za to paru ziemniokōw. — Zapisōł se to w rubryce „zmusono kradzież”, a dziedzica „krzywdzieli”, posed do insy chałupy i slysy jak matka swarzy na syna: — Cy muześ nie przyniōś choć w kiesyni poru ziemniokōw, hy?!

— Jo se nawet w kosyku ostawił troche, ale mi karbowy odbił... Wyście zawdy chyttry i kazujecie mi brać, tedy pōni ksadz o mnie godo!... Juz ani roz nie bede broi!...

Św. Izydor zapisōł se to „zmusono kradzież”, a dziedzica — jak przodzi. W trzeci chacie, w cworty — to samo. Jedni ino mieli troche swoigo zhozo i ziemniokōw, bo mieli trzy morgi pola i chowali se prosiatko. Św. zapisōł ik w rubryce „krodzież od biedy”. Zażroł tyz do cworokōw, bo przecie fernal mieli ornaryjo, to nie powinni kazować kraś dzieciom. Tam babsko labiedzi: — Boże, cało zime jodalimy ino po dwa razy na dziń, zeby co zaoszczędzić chłopisku na ubranie, bo juz ostatnie strzepy z nigo leco, a tu my wszystko zjedli i jescze braknie ty krwawo zapracowany ornaryje! W cym tyz, to chłopisko, bedzie chodziło, w cym?... Święta nadchodz... lato, a on kieby strach w konopiak!... I nie bedo się gospodarze śmiać z fernali?... Psu nie zycyc fernalskiego chleba!... Musis, cłeku, przykrodać po ziemnioku i po kłosecku, zebyś wyżył!...

U innyk fernali to samo. Św. Izydor wszystkim zapisōł „zmusono kradzież”, a dziedzica — „gnębieli”. Wrócił nazod przed stajnio. Fernal zapragali juz konie. Dziedzic akurak nadjechał. Wszyscy mu sie klanajajo nizlutko i pozdrawijajo: — „dzień dobry, jasnie panu”. Kto był blizy nigo, podchodził na paluski i całował go w rękę. Św. przemienił sie w chłopca, pozdrawił go i prosi o coś. Ale dziedzic kozoł mu jescze zacekać.

Wieczorem św. Izydor usiod se na ławce przed stajnią i obserwuje. Dziedzic spaceruje se z dziedziczką po ogrodzie, rządca polacygara i pusco dymy, a fernal i resła służby krzająjo sie kole koni, bydła i świń do dziewiaty godzin. Św. przypatrówōł sie pilnie, cy kto cego nie porwie. Zauwożył jak jedyn fernal w casie zadawania koniom obroku wzion se troske owsa do kiesyni, drugi kłapeć siana i pošli do domu, a św. Izydor z nimi sprowadzić, cy im to było konieczne potrzebne. Owies wzion se tak blady fernal lo kur, bo chowōł dwie, zeby miōł casym zjeś jojke bo był chorowity i ni mōg łażić za koniami; drugi wzion se kłapeć siana lo królikōw. Tymu chorowitymu św. zapisōł zaraz „zmusono kradzież”, ale z tym drugim nie wiedziōł co zrobić, ze mu sie to miesa zakciewało. Dopiero jak uziōł se cało rodzinna je na wieczero jałowuśki zur — mochnył ręką i tyz zapisōł: „zmusono kradzież”, a dziedzica — „gnębieli”.

Przysed nazod przed stajnio i usiod se na ławce przy tyk fernalak, co sie jescze nie

poochodzili. Jedyn septōł coś do stróża nocnygo, a on przykiwowōł głową i odpediał po cichu: — Dobrze. O piersy po pōnocku.

Świętemu przechodzi przez głowę, do jakiego rabunku oni sie namówijajo? Węc pilnuje stróża i ceko co to bedzie o ty piersy godzinie? Ciemno było, ze ino w slypie zgać, ale stróż nie pyto, ino łazi wszędy. Jak sie ino co kaj smyrnie — juz stróż tam lezie i oświeco baterijką. Ktoś gruchnił kamieniem do nik, jaz sie święty troche zdryg. Stróż nie zwazo na nic ino pilnuje, zeby se nie stracił służby. Ciurcoł tyz co chwila przed oknym rządcy, bo tak widać miōł przykozano.

Dochodzi pierso po pōnocku i ktoś puko do bramy. Stróż spytoł sie „Kto ta?”, pōznoł po głosie i otworzył brame. Wsed tyn fernal co sie z nim umowiōł, doł mu packe machorki i pošli oba między stodół. Św. za nimi. Tam z jakichś rupieci wyciagli deske, fernal wzion jo na ramie i posed. Św. sie dziwi, na co mu ta spruchniōłka potrzebnio i idzie za nim do jego chałupy. Tam na słomie na izbie śpi baba fernala z dzieckiem, bo jedno łozko popsute. Na drugim śpi troje dzieci. Chłopina bierze piłe, siekerke, gwoździe, budzi babe i przy jej pomocy naprawio łozko.

— Aha, to ci na to, nieboraku, potrzebnio była ta deska — pomyslił se święty i zapisōł to „zmusono krodzież”, a stróża — „krodzież z biedy”. Poozgladoł sie po izbie: brud... nędza... jaz kwicoy — Po mowanyk ścianak splywajo strugi wilgoci. Święty miōł ochote zackać troche, by użyć jak łozko naprawione tu spruchniōłka bedzie wygladać, ale mu w nosie zawierciato i pocuť, ze go moze katar chycić od ty wilgoci i smrodu, więc posed nazod do podwórza dworskigo. Było w som roz pō do trzeci po pōnocku. Dziewki biero widly, nose i wyrzucajo gnōj ze stajni. Mocne ścierwy były i moze kaj po cwierci fury brały na nose i wynosiły na gnojownie. Było ik styty, a piaty skotok co spioł w stajni i tyz im pomogōł. Po wyrzuceniu gnoju zadaly krowom jeś i zaroz je myły.

Św. Izydor kciōł zackać na dojenie, ale za dwadzieścia minut po trzeci slychać zwonek. To stróż nocny budził fernali. Węc święty posed przed konisko stojnio. Od bramy juz slychać kaszłacyk fernali: — kuu! kuu! kuu! Poprzychodzili i pojo konie, a potom je cyseo. „Kuu! kuu! kuu! — ożygo sie po stajni głośnym kaszłaniem. Osty kurz z brudów na koniski sierci gryzie w ocy, wcioko sie do gardła, i do płuc, a fernalo cyseo i kaszlo. Jedyn Siwek hardzo sie ubabroł, więc fernal wyprowadził go do stawu, zawinił se portki za kolana, rękawy za łokcie, zrobił wiecheć se słomy, wloz do zimny wody, dygoce i myje koniowi cały zadek.

Codziennie badał różne zakamarki dworskigo zycio i ludzkie przewinienia skrupulatnie notowōł. A nojbardzi to juz obserwowōł od połwy cyrwca do listopada, bo w tym okresie nojwiecej było co kraś we dworze: kopki siana na łaće, owoc w ogrodzie, zboze w polu, ziemnioki, buroki, marchew i różne jarzyny.

Siana zginiya ktōrōś kopka przy drodze. Święty skontrolowōł domy złodziei i przekonał sie, ze ta krodzież nie była z musu, ino od biedy i troche od zodości, ze to jedyn pon mo wiecej majątku, niz dwieście rodzin chłopskik.

We zniwa dopiero święty naprzygladoł sie wszystkimu: zniwiarki trajkoco, zwięco kosy, dziewczki odbierajo za kosiorzami, wiązo, stawijajo... Wzycikik dozoruje praktykant, casym i rządca, klnio, popędzajo ludzi, dziedzic jeździ na koniu, połowy łazi wszędy, wywijo lagą i wykli no złodziei, co kłōsie po ścierni zbierajo.

Św. Izydorowi bardzo sie to nie spodobało, ze to na ty święty ziemi zamiast bās „modlitwa i praca” — jes „przekleństwo i „raca”. Węc z ciekawości posed zażyrc na chłopskie pole. Tam se chłop siece, baba odbierō za nim... Spokojnie, cichuśko, tyle ino, co kosa zwięcy, abo se chłop stęknie casym jak trafi na silniejsze zboze. Chwilami se odychno, spożro na słonko, dziękujo Bogu za pogodę i dobry urodzaj, albo se tyz gwarzo o swoi biedzie.

Św. pobłogosławił te cicho proce chłopia i wrócił nazod na dworskie pole, tam pod las i przyglado sie starym babskom i dzieciom, co kłōsie po pszynicyk zbierali.

— Zosiu, uwijojmy sie, pōki połowy nie nadydzie — godo jedna staruska do mały dziouski.

— Dyć jo sie uwijom jak moge!... Cie wy, jo juz mom trzy kście!

— A moće co swoi pszynice?

— E, kaz to momy... Kawodecek ino zyta... Uciesy sie tyz mamusia z tego kłōsio, uciesy... Zaroz je otluce kijonką i ugotuje jutro na śniodanie kluskōw... Oj, pojem se tyz, pojem, mōj Bozycuku!...

— A moće mlyko do kluskōw?

— Juźci momy i duza, bo nasa koza takie mo wymie, jaz jej sie po kolanak obijo.

— A moja, ścierwa, to malo cegosik daje mlyka — narzyko staruska. — Juźci ni mo kto popaś jak u wos.

Święty pokiwoł se głową nad tymi biedokami i ani ik w księdze nie notowōł o to kłōsie.

O roz na pagórku zjawił sie rządca z psym. Baby i dzieci uciekajo. a rządca mruknił do psa: „Hera, na chamskie ścierwo”! Wilcyca skocyla na te baby i dzieci... Powstoł pisk... wrzask...

Nadjechał dziedzic na koniu, a rządca kwoli sie przed nim jak to wytresowōł suke, ze jak jej ino powie: „Hera, na chamskie ścierwo” — ona juz wie kogo mo gonieć i kaso jak wściekło. Dziedzic usmiechnył sie, pokwolył rządca i wyrzek po łacine: — „Tu es anima vilis, sed mihi es bonus”. Święty przysluchiwoł sie im i obu zapisōł w księdze: „dręczyiele”.

Jedynego razu św. Izydor zaobserwowōł coś niezwyklygo: toli jakiś chłopina ukrzesł se troche choiny na świerku. Prawie sie zabierōł odyjś, — a tu nadjezdzo rządca. Chłop zacon uciekać, ale rządca posuł go psym, złapoł, zbił, skopoł butami i zagnōł do dworu, a dziedzic odesłōł go na posterunek do policyi.

Św. Izydor dowiedziōł sie, kaj miesko baba tego oskarżonego chłopia i posed tam na zbadanie. Tam po prostu nędza śmierdziała, a tą choiną kciōł se biedok zagrodzić dziure w sopie, zeby miōł kaj rąbać patyki w zimie, cy jako rzec polozyć, bo stodoly ani komorki ni miōł przy chałupie. Węc święty zapisōł to okrzeseanie świerka: „zmusono krodzież”.

Alle zbicie i oddanie do policyi tego biedoka — to jescze nie wszystko. Toli zaroz w niedziele ksiądz głosi z ambony, ze we wsi są tacy ludzie, co nawet „rośliny z szat obdzierajo”. Godoł, ze to jes „jakoś rozmyślnio zemsta”.

Św. Izydorowi wystarczyło tyk obserwacyj we dworze. Zbadōł wszystko co należało, pozapisowōł se dokladnie i z grubą księgą wrócił do nieba. Pan Bóg go zaroz pyto, co zbadōł we dworze? Święty ozłozyl przed Nim zapisano księge protokolōw i odpowiadō: — Cytaj, Panie Boze.

Pan Bóg przeczytoł, zadumōł sie i wyrzek: — Heu! magnum perfidium pastoris dulcis vita dominij et mare lacrimarum miseri populi! Ni ma insy rady, ino trza zmienić tyn stary porządek na ziemie! Tak dali być ni moze!

Zawołoł więc Swygo sekretorza i rozkazuje mu: — Pis dekret o reformie rolnej!

Gdy juz dekret był gotowy, Pan Bóg doł: — Post scriptum. „Księżom zakazuje ujmować sie za magnatami i przeciwko Meji Woli występować”!

— Amen — dokończyli: Niebieski Sekretorz i Św. Izydor.

NUMER 21 „WSI” ZAWIERAŁ:

Jan Aleksander Król: Gawęda wigilijna pisarza, Wilhelm Szewczyk: Pastorałka maluchkich, Kajetan Sawczuk: Odrodźmy sie w duchu Michał Łazorek: Kolenda czytelników „Zarania”, Zygmunt Kalużyński: „Pastorałka” pod okupacją, Anegdota podana przez dr J. Spytkowskiego: „Jak chłop jasnie pana wykliwał”, Józef Czechowicz: Wigilia, Ze wsi, Józef Ozga-Michalski: Narodziny cielenia, Jan Baranowicz: Pieśń o żołnierzu nieznany, Paweł Kubisz: Krew z żył wyciekła, Józef Andrzej Frasik: Młodość córki ros, Jan Bolesław Ożóg: Lesiarka, Władysław Młeczarek: „Mroźne kwiaty, Fryderyk Miśtral: „Mirejo” w przekładzie Czesława Jastrzębiec - Kozłowskiego, Władysław Dunarowski: U chrzestnego, Piotr Ziarnik: Świt, Edward Marzec: Nim się dzień zacznie, Stanisław Pięta: Zwykła historia, Wiejscy czytelnicy, Janina Sobieszek: Ewka i Teresa, Jan Baranowicz: Wieś Stefan Lichański: Wilhelm Szewczyk — epik Śląska, ponadto „Audycje „Twórczości Chłopskiej” i „W roku 1945 we „Wsi” pisali”.

JAN WIKTOR

Zagadnienie literatury chłopskiej

Zagadnienie literatury chłopskiej nie schodzi z łamów pism od pierwszego dnia wyzwolenia z pod okupacji niemieckiej. Nic dziwnego. Wszyscy sobie zdają sprawę, że jest to zagadnienie niezmiernie wagi. Tu idzie bowiem o sprawę dla wsi, o kształtowanie duszy, o pomnożenie bogactw najżywniejszych dla narodu. Wiesz jest współtwórcą historii, potęgą i przyszłości.

Jest dążenie do nowego tonu, do nowej poezji, która jest zaprzeczeniem łzawości i fujarkowości. Słowiki tak uwielbiane już ochrypli i poginęły, życie roztrząsało fujarki, na jakich wygrywał pastuszek pod spróchniałą wierzbą swoje sentymentalne melodie.

Czytelnik dzisiejszy czeka na głos mocny, stalowy, sięgający do głębin. Czytelnik wie, że czeka na pisarza, który będzie budzącym, wychowawcą, który tchnie siły w czytelnika, roznieści pragnienie i porywy, który będzie uczył, który będzie wciąż wskazywał wzniósł cel — przez wielkość wsi do wielkości Polski.

Współczesne życie, z ogromem swych zagadnień, rozwala wieże z kości słoniowej, w jakich poeta tak długo się ukrywał, wyrzuca go z nich, zmusza do uczestniczenia w pracach społecznych, w służbie dla skrzywdzonych, żyjących dotychczas w sromocie, hańbie, uciemnieniu, budujących nowy porządek świata, opierający się na miłości, prawdzie, sprawiedliwości. Życie zmusza też do tego, że poeta zmienia swoje pióro w miecz płomienisty, w żyłastą pięść, w młot, kilof, druzgotający zło i niesprawiedliwość.

Dzieło pisarza musi mieć krzepkość cynu.

Lata okupacji, ogrom nieszczęść spadających na naród, muszą odmienić duszę pisarza. Dotychczas poezja jeszcze nie zrozumiała swej roli, dotychczas jeszcze poezja nie jest obrazem czasów, przełomów, porywów dzisiejszego pokolenia. Jeszcze jest jak zakłętą senne jezioro. Przeszły burze wstrząsały światem, rozgorzały pożary, uderzały w Polskę gromy i w toni tego zakłętą jeziora nie zostały śladu a przemienię na kształt obłoków płynących po niebie w pożdzie wschodów i zachodów. Literatura nie odzwierciedliła dramatyczności czasów, tragizmu narodu, nie jest wyrazieliwą wielkich tęsknot, pragnień i dążeń.

W czasie okupacji tak często rozlegała się sentymentalna nuta zapożyczona z przeszłości, jakby naokoło grzmotu, zwiastującego świt nowego dnia — owinęła się melodyjka słowika, lub dźwięk fujarki, zrobionej z pieszczela podjętego z powstańczego grobu 1863 roku.

Trzeba wciąż stwierdzać, że byliśmy świadkami, a także współtwórcami przełomowych zdarzeń, że na przestrzeni ostatnich lat zaczyna się nowy okres dzieł, że historia Polski, jak patyk, została brutalnie na kolanie okrutnych czasów przełamana.

Od roku 1939 patrzyliśmy na najpotworniejsze rzeczy, na pohańbienie człowieczeństwa, byliśmy świadkami obrazów, odbierających rozum, wyzerających oczy. I czyż można o tym zapomnieć? czyż te obrazy i przeżycia można zastąpić kadzidłanym dymem, płatkami jaśminów rosnących na cmentarzach, czy też promieniami dalekich niedosiętych gwiazd?

Żona, unosząca się nad obozami, nad krematoriami, ta czerwień spalonych skażonych długo będzie trwać na firmamentach Polski i nie zastygnie, nie spopieleje, nicostą się nie stanie, bo ona jest żywą krwią, wybroczoną z ran najlepszych synów i braci.

Kiedyś, w czasie okupacji, pisałem, że wśród huku gromów, burzących świat, wśród płaczu zrozpaczonych, żywcem spalonych, gdzie zgorzeliska są stertami ludzkich kości — poeta lubi się wsłuchiwać w romantyczny śpiew i nastroja swoją zbolalą lutnią na wzruszające nuty. Taka poezja rozkłada, a wszelkie rozkładać nie chce wole, rozkłada siły, rozłamuje hart, niweczy charakter a nie kształtuje człowieka o woli czynu. Czujemy się najsłabszymi, gdy mamy więzy na rękach, gdyż możemy je targać i śpiewać pieśni o bohaterstwie w cierpieniu, o męczeństwie, maczając słowa w ranach, ażeby się każde zapurpurzyło, rozgrzało i zajęło. Czy te ciągle szamotanie niewolnika zdeptanego, poniewieranego, wzgardzonego są cechą

twórczego narodu? Czy zadaniem narodu żywotnego jest ciągle ukazywanie się w łachmanach nędzarza cierpiącego i ujawnianie zgnitych ran, aby litość budzić?

Pragniemy poezji, wyrabiającej w nas dynamizm, niezłomność. Jęklący, rozplakany ton naszej literatury zmienić w zdecydowaną wolę i moc. Przestańmy wyplakiwać gorzkie żale wlokąc się na klęczkach po drogach krzyżowych, przestańmy uwielbiać w płaczu korony cierniowe, wtlaczając je na czoła i serca własnymi rękami — aby wołać — jesteśmy męczennikami za naród, za ludzkość.

Chwytajmy młoty i walmy w rzeczywistość, przekuwajmy ją, nadajmy życiu nowy kształt z myślą o człowieku tworzącym i chcącym się ratować życiem. Musimy maszerować wielkimi krokami, deptając wszystko co było złem, krzywdą, symbolem bezprawia, narzędzi niewoli. A w tej pracy pisarz nie może być niczym sługusem, ale musi być tylko służebnikiem narodu, jego najświętszych praw, jego najgłośniejszych zadań i porywów ucieleśnionych w czynie dla człowieka nieszcześliwego.

Życie wypełniać pięknem poezji, służyć człowiekowi i nieść mu radość.

Często na uniwersytetach chłopskich przed wojną i na kursach spółdzielczych w czasie okupacji zadawałem uczestnikom pytania, jaka powinna być literatura, jakie jej zadanie, jakim powinien być bohater powieści.

I niemal jednogłośnie żądano ksiązkę twórczej, budzielskiej, niemal wszystkich ożywiła tęsknota do bohatera mocnego, pełnego radości w działaniu, który by dążył przez przełamywanie przeszkód do zwycięstwa, do przetwarzania duszy czytelnika i wydobywania z niej najpiękniejszych pierwiastków.

Poezja polska swoim wszechmiłosierdnym sercem wcześniej usłyszała świsł ekonomskiego bąka, zobaczyła sińce i pręgi od tych uderzeń, poczuła ogień palący nagł grzebień wyrobniaka, bandosa w czasie żniwa, pot, zalewający mu oczy, rozkuliła się nad dolą pańszczyźnianego najemnika, poskarżyła się nawet na słonko okrutne, świecące bez końca i zlewające spiekotą, usiłowała odrzucić chłuszczącą rękę, zakryć czującym słowem bite plecy. Poezja umiłowala pastucha skurczonego na miedzy w jesiennej szarudze, bosego, obdartego, głodnego, otulonego workiem i śpiewającego zziębniętymi wargami — ojdyna — ojdyna — i spoglądającego w bezkres nędzy i smutku, nie znającego kre-

su, ale poezja dotychczas jeszcze nie zobaczyła chłopca jako współtwórcy dzieł Polskich, własnej roli i narodu zasłużonego pracownika. Poezja zobaczyła i umiłowala swoją tkliwość, swoim bólem, rozpaczą i udręką nędzarza, ale nie dostrzegła mocarza wyrastającego powoli z trudu, mokołu, potu, wygrzebującego się własną siłą z kamiennej doły. Współczuła, ale nie pobudzała do działania, rozrzucała, wyciskała łzy, ale nie wskazywała zbawczych dróg, nie wybiegała przed człowiekiem, aby mu głosić początek nowego życia, wzniecała ogień zżerający duszę, ale nie żywiła, nie tchnęła wiary we własne siły, mówiła o wzlotach, ale nie była skrzydłami, modliła się do młotów, ale sama nie była młotem uderzenia.

Któż spojrział na drogę, przebytą przez tamtego chłopca, jakim go widział Staszyc? Któż zbadał i opisał koleje jego życia, przebudzenia, odrodzenia, od chwili, gdy wydierał się z ciemnoty, uciemnienia, z niedobania, jak rozwijał swoje przyrodzone zdolności, wcielał je w czyn i parł wciąż naprzód.

Poezja musi zobaczyć i związać się z olbrzymimi dziedzicami odradzającej się wsi. Każdy z nas musi się przyzwyczaić do rozprzestrzeniania duszy ludu, gdyż ono jest rozszerzeniem potęgi Polski, jej mocy, jej bogactwa, jej twórczości. Wszyscy jesteśmy świadkami roli, jaką wieś musi odegrać. Dojrzałość polityczna chłopca, zespolona ze świadomością narodową, daje wspaniałe dowody miłości Ojczyzny, poświęcenia, bohaterstwa, godnego stanąć obok czynów chłopca Zbroji z czasów Kazimierza Wielkiego, Włocha, rzucającego głównie pod twierdzę Wielkie Łuki, wypełniającego wolę króla Batorego, czy też legendarnego Michałka, szarpiącego wojska szwedzkie i szaleństwem czynów budzącego podziw u wrogów. Przez lata okupacji patrzyliśmy na udręczoną, podeptaną, mordowaną, paloną wieś i widzieliśmy budzące podziw obawy uspołecznienia, ofiarności, samozaparcia i walczności.

Na współczesnej, młodej wsi żyją postacie, walczące o dobro i sprawiedliwość i czekające, aby wejść na karty ksiąg, oblać się w słowie i zamieszkać w sercu i czynie czytających. Bo ten chłop jest pełnym obywatelem i wolnym człowiekiem.

Z dzisiejszych czasów musi się zrodzić ksiązka, mająca kształtować jutrzejsze pokolenie.

Kłopotliwe pytanie

Pan X perorował o „inteligencji” w dobranym kółku składającym się z dwu starszych panów (po pięćdziesiątce), dwu pań domu i matek licznych potomstwa oraz pewnej damy w okularach, mocno głuchej i równie — wybaczyć imperyjnę — ślepej, w wieku lat 70, choć przynawala się do sześćdziesiątki, (jak się później dowiedziałem, była to pani hrabina M., dotknięta ciężką chorobą nerwową) od czasu przeprowadzenia reformy rolnej. Tak skompletowane towarzystwo uzupełniałem ja swoją osobą. Moją obecność tłumaczył przypadek. Ale dość było i tej krótkiej rozmowy, aby przekonać obie strony, że nie był to przypadek szczęśliwy.

Pan X w pewnej części przemówienia stwierdził, że „ludzie pozbawieni inteligencji będą niczym, choćby nie wiem jakie mądrości posiadali” — ta maksyma została przyjęta z ogólnym entuzjazmem z panią hrabiną M. na czele. Ja tylko jeden popeliłem ten wielki nietakt, że spytałem p. X, czy nie mógłby mi łaskawie wyjaśnić, o ile nie sprawi mu to przykrości, co rozumie pod pojęciem „inteligencji”. Na to wszyscy obecni zwrócili się ku mnie z nieukrywanym oburzeniem, co powinno mnie było ostrzec przynajmniej o nierozsowności przedłużania tak zaczętej dyskusji. Pan X natomiast z chłodnym, ale dobrze trzymającym się na ustach uśmiechem odpowiedział: „Sądzę, iż większość nas — tu powiedział wzrokiem po dwu emerytowanych inżynierach (o stanowisku społecznym dowiedziałem się znacznie później), po dwu matronach, po pani hrabinie — poczem spojrzawszy z wyższością na mnie, ciągnął dalej — ta większość rozumie dobrze znaczenie tego słowa, o ile jednak pan

chce usłyszeć definicję tego, że tak się wyrażę, terminu, proszę bardzo. Inteligencją jest nie tylko znajomość wszystkich dziedzin życia, ale także zdolność utworzenia własnego poglądu w każdej z tych dziedzin. „Przepraszam” — odparłem, popelińjąc drugą niegrzeczność po pierwszej — „czy pan własną inteligencją doszedł do rachunku różniczkowego? Czy posiada pan zdolność utworzenia własnego naukowego poglądu w zakresie fizyki, czy geologii? — czy pan, poza nazwą wie cokolwiek o embriologii?”

— „Wypraszam sobie stosowanie podobnych pytań pod moim adresem” — zabrzmiała odpowiedź.

Pozwoli pan, że postawię wobec tego inne pytanie — ciągnąłem uparcie, popelińjąc zdaje się trzeci skolei nietakt — podkreślał pan ważność wytworzenia własnego poglądu. To miało być, zdaniem pana, objawem inteligencji. Otóż, jak pan sądzi — czy chłopci, którzy przez tyle lat żądaniem reformy rolnej dawali wyraz innemu niż pan i pani hrabina pogładowi na prawo do władania ziemią, czy jest to żądanie objawem inteligencji chłopskiej, za czym przemawia i to, że dziś w majestacie dekretu państwowego i to nawet w trybie przyspieszonym została przeprowadzona reforma rolna?”

Nie wiem czy by pan X mi odpowiedział i co by mi odpowiedział, gdyż ledwie skończył, zerwała się głucha i ślepa hrabina — i krzyknęła: „Nie, nie!” — popadła w wielki atak nerwowy, co za trudniło na dłuższy czas pana X dwóch panów inżynierów i dwie gospodynie a dla mnie oznaczało koniec przypadkowego zetknięcia.

LECH BUDRECKI,

Pomyłki Juliana Przybosa

Święty poeta, Julian Przybóś, syn wsi rzeszowskiej, ogłosił ostatnio na łamach „Odrodzenia” obszerny artykuł pt. „W sprawie pisarstwa ludowego”, który roi się od niedomyśleń, mylnych sformułowań i poważnych omyłek.

Sprowadzając do podstawowej tezy artykułu Przybosa dałby się on streścić w tym oto zdaniu: „Od współczesnej wsi nie należy oczekiwać poezji o znaczeniu ogólnopolskim, urodzaj na poetów przyjdzie później z pierwszej po reformie rolnej generacji inteligencji ludowej, ale dziś już chłop może dać wartościową prozę”.

Innymi słowy jest to wezwanie, by „Wies” (Przybóś zgłasza postulaty przez cały ciąg artykułu pod adresem właśnie „Wsi”) drukowała uroczę nawiązości Rudnickiej czy Stopczyka jako swoją jedyną możliwą i cenną poezję — poza tym zaś trzeba wyłączyć całą produkcję wierszową aż do autentystów i niżej podpisanego łącznie, bo są to pisanki, stylizacja, zła poezja — natomiast drukować szerokim korytem prozę korespondencyjną, dokumentalną itd...

Hola, panie Przybóś! Skąd taka pewność siebie, pogarda dla innych poetów współczesnych? Pan ostatnio tylko z Homerem i Mickiewiczem się kumasz — do licha — czyżbyś uwierzył naprawdę, jak twierdził złośliwi, że jesteś następcą tych olbrzymów? Cienimy Cię niesłychanie jako poetę, ale twój reportaż liryczny, który uprawiasz z sukcesem, jest jakże skromny wobec osiągnięć epokowych tamtych ludzi.

Myśl Pana jest mylna — Pan przekreśla ambitny dorobek nieobojętnych poetów, których wysiłki zdają się właśnie dać poezje wsi współczesnej o ogólnopolskim znaczeniu. Mówię tu o Ozogu, Ozdze — Michalskim, Frasku, Kubiszu, Olsze, Baranowiczu, Skonecznym, Marcu — o sobie wreszcie. Nie wspominać tylko Pana, bo Pan od 1937 roku t. j. od pobytu w Paryżu sfrancuził jakby i nie przyznaje się do nas.

Jakże straszliwa krzywdą dzieje się natchnionym kontynuatorem pieśni ludowej, Czechowiczowi, czy nawet Fraskowi, gdy Pan pisze o pisankach, o sielankach młodych w związku z tamtym rodzajem poezji. A więc i pieśni ludowa oryginalna była fałszem i to bezwzględnie fałszem, bo w kłamstwie przedstawiała życie.

Pomyliło się coś Panu, Pan formista przeoczył najważniejsze zagadnienia poezji, zagadnienie formy.

Zresztą wiara w natchniony prymitywizm, w naiwność niekontrolowaną to przecież stanowisko krytyka akulturalne, niepostępowe, co tu gadać, reakcyjne, które pasowałoby w organie katolickim którymś, ale w „Odrodzeniu”?

Nie można zahamować procesów kulturalnych i społecznych. Wiesz przestała być rezerwatem, kolonią murzynów, zjawia się ona trakt kultury i wiedzy. Dla nas zjawiskiem ważnym jest Pokora, Pócek, czy inni, (ważniejszym niż Rudnicki), choć piszą nieraz rzeczy niedobre, bo to jest mocowanie się chłopca utalentowanego z olbrzymim materiałem literackim swego Narodu. Piszą na razie niajako — będą pisać lepiej. My, to jest Pan i ja pisaliśmy równie rzeczy koszarne na początku, Pan o bogach słowiańskich, ja o krowach, pływających w snach. Jest słusznym używanie do naukowości w opisach zjawisk literackich ludowych, do poświęcenia więcej miejsca prozie dokumentarnej (tylko nie czynić bóstwa z dokumentu) — co prawda my tę myśl mieliśmy już sami i będziemy ją cenić, tymbardziej po Pana przypomnieniu.

Skąd te jednak łatwowierności, mielinizmy teoretyczne Pana w rodzaju sądów o powieści dwudziestolecia i poezji autentystów — czy przypadkiem to nie zła wola? Chęć obniżenia naszych wysiłków w opinii Polski dzisiejszej?

P. S. Krytycy — Sandauerze, Wyko, Kottu (czy Kotcie), Lichański udowodnijcie Przybosiowi, że myli się jakoby ja, czy Ozóg, nie był poetą wsi o ogólnopolskim znaczeniu i w ogóle udowodnijcie mu czarno, na białym, że żyją dzisiaj poeci niemniejszej skali od niego w obecnej Polsce, bo on cierpi, że jest wciąż sam.

P. S. Prywatnie: Drogi Julianie, możesz po tej mojej gwałtownej odpowiedzi zerwać ze mną stosunki. Proszę bardzo. Muszę Ci jednak oświadczyć, że nie przemyslałem gruntośnie zagadnienia i powodowałem się złą wolą w przedstawieniu wysiłków pisarzy chłopskich. Bądź co bądź uwagi Twoje świadczą, że interesujesz się zagadnieniami dzisiejszej wsi, zapraszam Cię tedy gorąco na Zjazd Walny Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich, który odbędzie się w marcu. Będziesz mógł na nim wobec licznych uczestników jeszcze raz sformułować swoje myśli i bronić swego stanowiska.

STANISŁAW PIĘTAK

KTO JEST „CHŁOPEM”?

(Z listów naszych korespondentów)

Felietonik M. Barchanowski — „DOPOKĄD CHŁOPEM” — wywołal żywy oddźwięk u naszych czytelników — przede wszystkim u czytelników z napółinteligentnego środowiska wiejskiego. Drukujemy trzy wypowiedzi

Oto pierwsza wypowiedź. Pisał ją człowiek rozsądny — może organista, drobny urzędnik na wsi, lub w miasteczku. Pismo bez śladów błędów ortograficznych — jasność ujęcia, dobitność, swoista godność cechują każde zdanie korespondencji.

**

W jednym z numerów „Wsi” ukazało się — niby — kłopotliwe pytanie, obywat. M. Barchanowskiej, pt. „Dopokąd chłopem?”

Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, trzeba sobie uprzytomnić kto jest właściwie — w pełnym tego słowa znaczeniu — chłopem? Jakże znamiona fizyczne i duchowe powinien posiadać chłop?

Chłop mieszka na wsi, uprawia ziemię, hoduje bydło, trzodę i drób, chodzi w sukmanie, mówi gwara i jest mało rozwinięty umysłowo...

Tak sądzą w olbrzymiej większości mieszkańców.

Sprawa przedstawia się zgoła inaczej.

Chłopem jest rolnik lub ogrodnik pracujący na roli własnej lub za zapłatą na obcej; rzemieślnik wiejski jak kowal, kłodziej, szewc, bednarz, chałupnik każdego rodzaju, sklepikarz. Ten ostatni o ile pochodzi ze wsi i nie wstydzi się swego pochodzenia.

Chłop nie musi chodzić w sukmanie czy siermiędze, może nosić się jak uważa za stosowne, nie musi mówić gwara — bo ta zanika prawie wszędzie, a zwłaszcza w takich wsiach, gdzie są 7 klasowe szkoły powszechne, z wyjątkiem takich okolic regionalnych jak Podkarpacie czy Śląsk, gdzie gwara nie dała się wypierać ze swego dominującego stanowiska.

Chłopem jest rolnik — praktyk, analfabeta, lecz jest nim także rolnik-agronom, (w Danii prawie każdy rolnik jest agronomem). Wreszcie chłopami są chałupnicy i rzemieślnicy wiejscy.

Trzeba jeszcze odróżnić wieś od wsi.

Nie jest wsią — moim zdaniem — podmiejskie osiedle urzędnicze, oficerskie czy robotnicze. To nie jest wieś. Takiej miejscowości, w której największym bydlęciem domowym jest królik, a z piactwa kanarek lub gołąb, nie można nazywać wsią, choć należy do zbiorowej gminy wiejskiej.

Kto nie jest wobec tego chłopem?

1) Mieszkaniec miasta, który z konieczności służbowej zamieszkuje na wsi (lekarz, ksiądz, nauczyciel, urzędnik, sklepikarz itd.) o ile nie są pochodzenia chłopskiego, względnie jeśli się do tego nie przyznają.

2) Chłopi, którzy wyprowadzili się do miasta, gdzie uzyskali stałe zatrudnienie jako robotnicy, dozorczy domów itp. również przestają być chłopami, ponieważ automatycznie przechodzą do innej pokrewnej grupy społecznej — robotników lub inteligencji pracującej u wykształconych chłopów. Naturalnie wtedy, gdy zapierają się swego chłopskiego pochodzenia (nagminna rzeczywistość do 1939 r.).

3. Jeżeli ktoś zapiera się swego chłopskiego stanu z powodu uzyskania pewnego wykształcenia, tego nie powinno się powtórnie schłopić. Niech zostanie wroną z bajki Kryłowa, która „pawich piór nawykawszy sobie w chwałę” udawała pawia.

W konkluzji stwierdzam, że są chłopi prawdziwi i są chłopi „przyszywani”. Jeżeli ktoś nie umie odróżnić na polu owsa od jęczmienia, gęsi od kaczki, niechże się nie blamuje i nie podsydza pod zaszczytną dla jednych, a modną tylko dla drugich nazwę chłopstwa polskiego.

ADOLF KOTARBA
wieś Chrzanów, k. Warszawy

**

Autor drugiej korespondencji jest klasycznym przykładem wiejskiego literata, który chleb jadł z niejednego pieca, niejedno widział i ma się czym popisać przed ludźmi.

Śluszne spostrzeżenie, że nazwa chłopstwa w Małopolsce służy nie do określenia stanu czołowego, lecz jego przynależności (stotnie mówiło się tam jak o największej pochwałie np. i o biskupie i staroście etc.: piękny chłop lub na odwrót cherlawy chłop, miękina chłop) rozwleka w zbyt szerokie przestrzenie historii i cytuje przykłady z Niemiec, z Czech, by na terenie „ogólnowiatowym” potwierdzić swoje zapatrywania.

Tysiące takich u nas ludzi po wsiach!

Oto jego słowa:

**

Nie wszędzie u nas w kraju nazywają chłopem mieszkańca wsi, bo mówią o tych, którzy posiadają jakiś majątek nieruchomości, że są gospodarzami. Można to

śłyszeć w Małopolsce jak i w Poznańskim. O chłopach wyrażają się wtedy, gdy chcą oznaczyć pewną ilość mężczyzn, np. „było tam około pięćdziesięciu chłopów” lub gdy chcą ocenić jakiś przymiot danego człowieka to mówią: „to piękny, dobry chłop”. Dzięki jednak właściwości języka polskiego, jaką możemy się poszczycić, możemy uczcić takiego np. Napoleona, Kościuszkę czy Witosa mianem: to był dobry chłop (dobry człowiek)!

W języku niemieckim brzmiałoby śmiesznie takie powiedzenie o Fryderyku II czy Bismarcku: „to dobry Bauer!” U Czechów i Morawian, siedzący na roli wieśniak nazywa się „sedlak”. Też ani Palackiego ani ob. Kramarza nie można potraktować nazwą: „to dobry sedlak”, jeśli nie byli wieśniakami i nie siedzieli na roli.

Natomiast w Polsce można każdego mężczyznę potraktować tą nazwą: „dobry chłop” (o ile na to zasługuje) — choćby nie pochodził ze wsi i mieszkał w mieście.

Ob. M. Barchanowska nie obawia się o to, że „chłop” mówiący językiem literackim i czytający książki z biblioteki „Wiedza i technika” czy z biblioteki „Laureatów Nobla”, stały słuchacz audycji radiowych, chłop-inżynier, technik, lekarz, kierownik świetlic, kursów, spółdzielni itp. pójdzie (jak bywało) „za paniczą do dworu”, bo on będzie i pozostanie na zawsze chłopem — obywatelom Polski Ludowej — bez względu na ubiór, zajęcie i wykształcenie, — nie wstydząc się swego chłopskiego pochodzenia — przypieczętowanego historyczną nazwą „chłop”.

Chłop może być rolnikiem, zagrodnikiem, ogrodnikiem i gospodarzem, czyli „gazdą” jak mówią Podhalanie, a może też być w mieście adwokatem, sędzią, lekarzem, profesorem, księdzem — czy szewcem i wyrobnikiem, ale też może być i taki, którego zasługi dla Ojczyzny przeważają zasługi niejednego z królów. Nie brakuje więc dla chłopstwa miejsca ani w przestrzeni ani w czasie — przeto to pytanie „dopokąd chłopem?” lepiej pozostawić bez odpowiedzi.

PIOTR WYROBEK

z powiatu krakowskiego

**

Trzecia wypowiedź najprostsza, techniczna serdeczną nutą, świadczą jak czulego czytelnika i słuchacza posiada nasza współczesna literatura. Ile ukończenia bezinteresownego sztuki trzeba, by żyjąc samemu skromnie przenieść pisma literackie i tam znajdować treść dla swojego myślenia i czucia.

Nie jest źle w naszym świecie wiejskim, trzeba tylko dążeń, przodowników kierować w słuszne tożyska, jak to już się dzieje na odcinku literatów wiejskich, a więc ludzi najwrażliwszych, mających najbardziej oczy otwarte na przeszłość i dzisiejszość, i przyszłość.

**

Jestem chłopem — gdyż: urodziłem się we wsi i mieszkam na wsi, posiadam własne, choć małe gospodarstwo, które własną ręką obrabiam. Strojów ludowego — niestety, ani ja ani żona nie nosimy, gdyż takowy w okolicy naszej dawno już zagał. Mówimy językiem prawie że literackim, ponieważ gwarę we wsi naszej i okolicznych jest w zaniku, a tworzy się jakiś żargon podmiejski.

Na koniec powiem szczerze — wykształcenia oprócz szkoły powszechnej nie mam żadnego, ale Bogu dzięki, ciemny jak tabaka w rogu nie jestem, ponieważ mogę i czytam nawet książki z biblioteki „Wiedza i technika” i z biblioteki „Laureatów Nobla” i mam ich własnych kilkadziesiąt. Poza tym prenumeruję siedem czasopism, a są to: „Wies”, „Odrodzenie”, „Kućnica”, „Tygodnik Powszechny”, „Przebieg”, „Sztandar Chłopski” i „Piast”. Oprócz tego czytam jeszcze „Życie Literackie”, „Zdrój” i wiele innych. Przed wojną miałem nawet własny radiodiodniownik, za którym i obecnie tęsknię, tak samo, jak i za drogą bitą we wsi, za światłem elektrycznym, komunikacją samochodową i t. d. i t. p., a mimo to jestem i pozostanę chłopem.

Tak więc, proszę was Obywatelko!

O chłopkości nie decyduje sukmana, ani gwara, ani analfabetyzm — bo chłopkość to nie coś ujemnego, czego powinniśmy się wstydić, bo na przestrzeni wieków chłop nie popełnił niczego takiego, coby go miało zhańbić, a więc i w dobre radia, elektryczności i energii atomowej chłop chłopem pozostanie.

WŁADYSŁAW KOSOWSKI

Majdan Krasieniński
koło Lublina

P. S. Przypuszczamy, że te wypowiedzi na temat „CHŁOPSKOŚCI” dyskusji nie zakończą, a przeciwnie, rozpalą ją. Będziemy mogli w następstwie bogaty plon uwag uporządkować pod względem ważności cech, odrębności i płynności, dochodząc do wyraźnego zdania sobie sprawy ze współczesnej samowiedzy warstwy chłopskiej i jej rozmaitych środowisk kulturalnych.

p.

„Biedny i bogaty” Józefa Pogana

Drukowany w przedświątecznym (20-ym) numerze „Wsi” wyjątek z powieści Pogana „Ludzie pustkowia” można uważać za typowy dla twórczości tego pisarza, który jako prozaik debiutował po wojnie, i od razu skupia na sobie całą naszą nadzieję, jako czołowy może pisarz prozaiczny współczesnego chłopskiego pokolenia.

Taką nadzieją powiało; — czy się ona spełni, czy potrafi Pogan dać całkowity obraz naszego chłopskiego czasu, przyszłość to okaże. We wszystkich dotąd opublikowanych fragmentach, zarówno w „Twórczości”, jak we „Wsi” i w „Orce”, jest piękna zapowiedź. Wyjątki te mają cechy uderzające, w dziejach ludowej prozy zupełnie nowe; żeby je z czymś zestawiać, można by sięgnąć — do BALZAKA. W tym miejscu niejednemu z czytelników — posiadających nas o przeholowanie w entuzjasmie dla „naszego” pisarza; ale też wcale nie mamy zamiaru porównywać znaczenia czy rozmiarów dzieł przez nich utworzonych, — nie mniej rzucając się w oczy uderzające podobieństwa zarówno w postawie — obserwatora, jak w technice, a nawet ideologii — między wielkim francuskim powieściopisarzem a naszym Poganiem, świadczące o niewątpliwym pokrewieństwie typu twórczości.

Pierwsza cecha wspólna: realizm szczegółowy. Obydwaj są drobniagowci w opisie przedmiotów i cech, — ale jest to drobniagowość nastawiona w jednym tylko kierunku. Pogan nie opisuje wyglądu ludzi, ich miny, efektu jaki wywierają; natomiast szczegółowo podaje co jedzą, jak przyrządzają, ile razy dziennie. Opis niechlujnego gotowania kaszy w „Niedoleżnym małżeństwie”, posiłek dwóch chłopów (jeden je mięso, drugi nic nie ma) w „Biednym i bogatym” — stanowią główne sceny tych utworów. Pogan nie interesuje się

nastrojem miejsca, które przedstawia, ale z pasją wlicza przedmioty w chałupę i morgi gruntu gorszej i lepszej ziemi. Analogia z Balzakiem jest tu uderzająca, mimo ciałniejszego zakresu u naszego pisarza. Szczegółowy opis materialnego stanu chłopskich bohaterów jest u Pogana odpowiednikiem owych niekończących się balzakowskich narracji o rentach, papierach wartościowych, szczęśliwych zabiegach handlowych, o wyglądzie mieszkań, pałaców, domów — przytem nigdy nie idzie o wrażenie jakie to otoczenie robi, a tylko o odpowiedź na pytanie: ILE TO WARTO?

Dalej: Pogan nie obchodzi uczucia, przeżycia i sentymenty bohaterów; można powiedzieć, że nawet ich LOSY go nie interesują. Tematem u niego jest zawsze jakaś SPRAWA, i to sprawa materialna: więc dzieje schedy, którą otrzymało głupkowie małżeństwo, historia ubożego gospodarstwa, prześladowanego przez komornika i przez bogatego chłopca (Biedny i bogaty), dzieje założenia studni w gminie. Wyczuwamy u niego takie mniej więcej nastawienie: „Teraz wam opowiem historię pewnego opuszczonego gruntu, dla przykładu, że co się zaniedbało, to nie zawsze opłaca się odrabiać. A ponieważ gruntem tym zajmował się pewien chłop, więc posłuchajcie jego dzieł...”

To powoduje, że Pogan, podobnie jak Balzak, jest OBIEKTYWNY. Jego bohaterowie chwytają nas za serce albo śmieją jakby wbrew woli autora, który nie miał zamiaru budzić w nas sympatii lub niechęci do swoich postaci. Pogan opisuje jak było, jedno po drugim, nie wykorzystując naszej życzliwości czy odrazy. Nie jest kanonizacją, nie pokazuje palcem kto winien; wizytę nieludzkiego komornika, czy skąpstwo bogatego chłopca opisuje na równi z niezdarkością wyzyskiwanego przez

Wies polska powoli przeobraża swoje oblicze. Podstawą gospodarki wiejskiej są indywidualne gospodarstwa chłopskie, małe, średnie i większe. Reforma rolna powiększyła ilość gospodarstw małych i średnio-rolnych. Jeśli do tychczas można było mówić o pewnej konkurencji zawodowej między poszczególnymi gospodarstwami chłopskimi (silniejszy uciskał słabszego, jako handlarz przetworów rolnych, jako pracodawca-wyzyskiwacz, jako nielitościwy wierzyciel) — obecnie wieś wchodzi na drogę współpracy gospodarczej wszystkich chłopów, trudniących się rolnictwem. Słabsze i średnie gospodarstwa biorą w obronę Związek Samopomocy Chłopskiej, dając im pomoc materialną. Rozrastające się coraz bardziej spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej są tej współpracy najwyraźniejszym dowodem. Obecnie mamy do zanotowania jeszcze jeden fakt, świadczący o stałym postępie wsi polskiej; powstanie Zrzeszenia Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej — centrali spółdzielczości samopomocowej — stanowi poważny krok naprzód do podniesienia poziomu gospodarczego i kulturalnego wsi. Celem zrzeszenia, którego członkami mogą być (i są) wszystkie spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej, jak też i inne spółdzielnie, prowadzące zakłady przemysłowo-rolne, oraz osoby prawne, zajmujące się pracą w zakresie rolnictwa, — jest rozbudowa wytwórczości przemysłowej i rolnej w zrzeszonych spółdzielniach przez planową akcję organizacyjną, instrukcyjną i gospodarczą. Zrzeszenie zaopatruje ma spółdzielnie w surowce, urządzenia i materiały techniczne oraz w inwentarz hodowlany. Zrzeszenie ułatwi spółdzielniom zbyt ziemiołódów i produktów przemysłu rolnego przez odpowiednią działalność instrukcyjną i informacyjną.

I. p.

DRUGA AUDYCJA

„TWÓRCZOŚCI CHŁOPSKIEJ”

W dniu 2 stycznia 1946 r. odbyła się następna skolei audycja „Twórczości chłopskiej”, zorganizowana przez Redakcję tygodnika „Wies”, nadana z Łodzi na wszystkie rozgłośnie polskie. Tym razem przed mikrofonem Polskiego Radia odczytano prozę Józefa Pogana; był to wyjątek z „Ludzi pustkowia” zatytułowany „Studnia”. Tematem tego fragmentu jest historia budowy studni artezyjskiej w ubogiej i zabitej deskami od świata wsi. Lekturę Pogana poprzedził szkic pióra Stefana Lichalskiego o tym chłopskim prozaiku.

Audycje „Twórczości chłopskiej” nadawane są co dwa tygodnie na wszystkie rozgłośnie polskie. Słuchajcie nas w każdą drugą środę o godzinie 17.15.

S. S.

nich niedoległ, bez moralnych wskazówek, po prostu JAKO FAKT, który się zdarzył. I dlatego, podobnie jak Balzak, budzi w nas zaufanie, i dzieło jego przemawia, jako argument społeczny, stokroć silniej niż gdyby autor zamykał ręce i pomstował wielkim głosem.

A może ta równoległość patrzenia Francuza i Polaka płynie stąd, że obydwa byli — chłopami? Bo jeszcze dziad Balzaka oral własną ręką... W każdym razie, jest Pogan w naszej ludowej twórczości zjawiskiem świeżym: obraz nędzy chłopskiej w jego prozie jest rzeczą i całkowicie pozbawiony sentymentalizmu. Oto dlaczego odczuwamy tego samorodnego chłopskiego prozaika jako pisarza nowoczesnego, mimo że porusza te same tematy, które łzami oblały kłiwu Junosza-Szaniawski. Jest to nasz młody Balzak: ta sama pasja, mania, werwa; ta sama obfitość życia, dramatyczny przebieg zmian, ciósów materialnych, spadających szeregami na bohaterów, bez roztkliwiania się nad nimi; to samo nastawienie na problem interesu, materii, zaopatrzenia. Podobnie jak przez Balzaka, talent obserwacyjny mówi przez Pogana jakby wbrew jego woli; tak jak Balzak, pchany temperamentem do twórczości, zmarnował wiele lat na pisanie nieudanych tragedii, tak i nasz Pogan strwonił sporo czasu na złe poezje, a do powieści wziął się około czterdziestki. Jedno tylko ich różni: Balzak był rzadkim w literaturze grubasem, a nasz kochany Pogan, przerażliwie chudy, jest najszczuplejszym członkiem Oddziału Wiejskiego... By jednak nie kończyć żartem, stwierdzamy jeszcze raz, że w dwóch tych pisarzach tkwi twórcza zawziętość POKREWNEGO gatunku i życzymy zarówno sobie, jak Poganiowi by była w przyszłości RÓWNEGO GATUNKU, choć chłopskiego i polskiego,

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

CZESŁAW GARDA

PŁASKOKORZEŻBA

To byli doprawdy szczęściarze. Chociaż wysiedleni z własnej gospodarki, pozostali w tej samej okolicy i oddaleni zaledwie o 20 km od Łodzi, nie odczuwali prawie, że to czwarty rok wojny i niemiecka okupacja.

Mieszkali w osobnym domku przy dworze, gdzie pomyślnym zbiegiem okoliczności najstarszy ich syn, absolwent szkoły rolniczej, otrzymał posadę rządcy.

Pozwolono mu trzymać krowę i drób, którego ilość rychło przekroczyła przepisową normę i doszła do kilkudziesięciu głów kurzych i kaczek.

Podobnie rozmnożyły się króliki, które zresztą komisarza dworu zupełnie nie obchodziły.

W momentach, kiedy moja głodowa egzystencja w mieście dokuczała mi nadmiernie, obraz tego rezerwatu zwierząt stawał mi w dzień przed otwartymi, a w nocy przed zamkniętymi oczyma. Nie opierałem się wtedy długo pokusie i częściowo podmiejskim tramwajem, częściowo na chwiejnych nóżkach — robiłem wypad na wieś. Najeść, owszem zawsze się najadłem. Ale za to — wypitego mleka, zjedzonych jaj, kurzego czy kaczego udka, ludzie ci nie pozwolili mi wprost strawić.

Rządca, rumiany i zdrowy byczek, któremu podobnego nie miałem szczęścia w czasie wojny, urząd wśród moich współrodaków, okrutnie wyrzekał na swój los i zamęczał mnie pytaniami, kiedy zaczniesz się na zachodzie ofensywy, kiedy wojna się skończy? Jakbym akurat był wtajemniczony w plany głównego sztabu naszych — niestety — nie spieszących się sprzymierzeńców.

Kiedy po obiedzie rządca udawał się do swych zajęć, a jego ojciec na drzemkę brała mnie w obroty szybko mówiąca matka.

Zwierzała mi się skwapliwie z trudności swoich operacji handlowych, przeprowadzanych wspólnie z gospodynią dworu, panią Wirska, a które to operacje głównie polegały: na zdobywaniu „na lewo” zboża, „lewym przemiale i „lewej” sprzedaży maki, co było zresztą już najłatwiejszą sprawą. Poza tym, od czasu do czasu, skaptowawszy uprzednio dworskiego pisarza, urządzały potajemny ubój barana, świnie bowiem zbyt skrupulatnie kontrolowane były przez komisarza. Pisarz za „umiejętnie” przeprowadzony remanent baranów otrzymywał ekwiwalent w gotówce, mięsem zaś dzielili się kobiety.

O rządcy wspomnieć wypada, że choć prowadził z pisarzem zgodną akcję uwodzenia dziewcząt pracujących we dworze, do spraw uboju się nie mieszał, bo nie chciał „wisieć”.

Bywały jednak chwile, że obie kobiety gniewały się na siebie z powodu nieporozumień, wynikłych z chaotycznego prowadzenia rachunków i wzajemnych posądzeń o nieuczciwość. Wtedy moja rozmówczyni równie skwapliwie informowała mnie o życiu prywatnym współniczki.

Dowiedziałem się więc, że: pani Wirska, była kochanką Herr Zdanowskiego komisarza majątku, w którym uprzednio pracowała, odeszła jednak z tamąd, gdyż kochanek zaczął ją motorycznie zdradzać, teraz stara się „podejść” pod obecnego szefa, ale bezskutecznie, mimo że Herr Kitzke jest również „rozwodnikiem”. W ogóle, to pani Wirska nie może żyć bez mężczyzn, ale niezależnie od przygodnych kochanków, pragnie jeszcze raz wyjść za mąż, mimo że jest babką!

Te wszystkie handlowe i niehandlowe wiadomości, powtarzające się ciągle w różnych wariantach, przestały mnie rychło zajmować.

Doszło wreszcie do tego, że jednostajny terkot mojej rozmówczyni zaczynał działać na mnie usypiająco. I kiedy w najlepsze bym się zdrzemnął, zjawiał się właśnie rzeźski po drzemce mąż szybko mówiącej i strofował mnie po ojcowsku, że nie korzystam z świeżego powietrza.

Więc szliśmy na przechadzkę.

— Stale mówię to samo, — zaczynał płacząco wydukiwać pan Jan, że przez moją żonę wszyscy wpadniemy. — A niech pan sam powie, czy nie mamy jedzenia w łódź? Czego nam więcej trzeba? Chyba płatosego mleka? — Więc tylko siedzieć cichutko i przeczekać! — Ale mojej żonie co innego w głowie. — Po co jej ten handel mąką? POCO pieniędzy? POCO wdaje się w szlachtowanie baranów? POCO — mówił wpadając w desperacką pasję i ściskając mnie kurczowo za łokieć — żona zadaje się z tym małpizmem? Ten małpizem — mój towarzysz z wyraźną satysfakcją obrażał panią Wirska — ze wszystkiego się

wykręci, tym bardziej, że podpisze już wkrótce „Volksliste”.

A my — zginiemy, zginiemy — powtarzał, puszczając mój łokieć i spoglądając smutno na swój okazały i z braku innych zajęć kulturowany brzusek.

Podobne rozmowy, a właściwie monolog, powtarzały się podczas naszych przechadzek. Na zakończenie ograniczałem się tylko do lakonicznych słów ubolewania, że pan Jan nie ma wpływu na żonę i poziewałem, zazdroszcząc nieszczęśliwemu małżonkowi odbytej drzemki.

Ten senny nastrój ulotnił się bezpowrotnie z chwilą, kiedy osobiście poznałem panią Sylwię Wirska.

W pierwszej chwili doznałem uczucia przynębienia, podobnego do tego, jakie ogarnęło mnie kiedyś w cyrku na widok pewnego „championa” świata. Pani Wirska bowiem miała nademną również ilościową przewagę.

Ważyla, jak sama bez żenady a nawet z pewną dumą wyznała, 95 kg. Obiektywnie rzecz biorąc, nie była jednak zdeformowaną tłuszciochą, raczej — podobnie jak ów „champion” — atletycznej budowy, i jak na wiek w granicach 44—50 lat (pani Wirska przyznawała się do dolnej granicy, pani Janowa dodawała jej lat 6) jeszcze wcale przystojna.

Ale rychło otrząsałem się z chwilowego przynębienia, gdyż zaabsorbowała mnie całkowicie akustyczna i wewnętrzna strona zjawiska.

Pani Wirska mówiła szybko, ale uchwytne wolniej niż jednostajnie mieląca jak ręczny młynek pani Janowa, natomiast tonem nieco sztucznie podwyższonym, ja-

ki zazwyczaj tchnął z ustek pewnych dam, które przejęły się kinetyczną teorią materii i z istic kobiecą nierozumą oddawały się żywiołowi ruchu czyli „pracowały społecznie”.

Przed wojną, niezależnie od tego, że administrację kamienicy miała wyłącznie „na swej głowie” (bo mąż miał tylko w głowie bractwo kunkowe, polowania i wreszcie umarł tknięty apopleksją, nie doczekawszy się licytacji domu, pani Wirska również pracowała społecznie.

Była członkinią wielu stowarzyszeń i nawet vice-przewodniczącą koła P. C. K. w pewnym mieście na Pomorzu. Ale o tym wszystkim dowiedziałem się z opóźnieniem, gdyż w chwili, kiedy panią Wirska poznałem, znajdowała się w ostatnim stadium komplikacji przed całkowitym zerwaniem łączącego ją stosunku z Herr Zdanowskim.

„Rabka tajemnicy”, dotyczącego tych spraw właśnie, pani Wirska najwcześniej uchyliła przedemną. I chociaż nie powiedziała „wszystkiego” (jestem człowiekiem dyskretnym i nie miałbym nawet śmiałości, żeby...) to jednak z fragmentów tej „sprawy męża i niewiasty” wynikało jasno, że pani Wirska nie tylko wobec zdrady, ale i niewdzięczności, czyli mówiąc krótko: wobec człowieka, który „nie zasługiwał” zachowała postawę, dającą się jednym słowem określić jako wielkoduszną. Prawda że z początku, idąc za popędem wzgardzonego uczucia i nerwów, nie dbając nawet o zwrot tyśiąca dwustu dwudziestu pięciu marek, które pożyczyla Herr Zdanowskiemu na doraźne pokrycie kasowych niedoborów (akurat zjechała

komisja na przegląd ksiąg majątkowych), skierowała anonim do policji, oskarżając Herr Zdanowskiego, że na stanowisku komisarza dopuszczał się nadużyć i państwowe pieniądze trwonil na hulanki z kobietami „niemoralnych obyczajów”.

Prawda, ale rychło się przecież opamiętała. Wystarczyło, że Herr Zdanowski powiedział:

— Sylwus, przyznaję, że jestem kobieciarz i pijak, ale ciebie tylko jedną zawsze kocham, ciebie Sylwus... a pieniądze, bądź pewna, ci zwrócę. I wtedy co? Pani Wirska z podziwu godną cywilną odwagą sama zgłosiła się do policji i oświadczyła, że jest autorką anonimu, i że oskarżenie było fałszywe, spowodowane tylko kobiecą zazdrością.

Ostatecznie, sprawa ta dla Herr Zdanowskiego i dla pani Wirskiej zakończyła się bez żadnych karnych konsekwencji.

A mogłam go — zapewniała mnie pani Wirska — wrzucić do więzienia, ale trudno — westchnęła z rezygnacją — jestem w nim chyba zakochana.

— On chce — podjęła, ożywiając się i przyspieszając tempa — żebym do niego wróciła. Ale nigdy tam nie wrócę! Dość się najadłam wstydu, każda dziewczka we dworze wie przecież jak mnie zdradzał i jak mi jeszcze naurągał nieraz ordynarnie, gdy się upił. Nie! — Owszem, mogłabym wrócić ale tylko jako żona. Lecz jemu małżeństwo wcale nie w głowie (zresztą nie uzyskał jeszcze formalnego rozwodu). Wiem zresztą, że gdyby nawet ożenił się ze mną, i tak nie zmieniłby obecnego trybu życia. Poznałam go dobrze, jest to w gruncie dobry człowiek, ale nerwus i słaby charakter.

— Wie pan, — uchyliła dalej „rabka” — on często jeszcze telefonuje do mnie i prosi o spotkanie. Ja mu wtedy odpowiadam oficjalnie i po niemiecku (on się o to — uśmiechnęła się przekornie — zawsze wścieka): „Panie Zdanowsky — mówię — między nami wszystko skończone. Spotykać się z panem więcej nie będę, niech pan nie myśli, że przyjdę do pana, żeby dziewczkom i pańskim kochankom robić z siebie pośmiewisko. Nie. Jeśli przypadkowo się spotkamy, to mogę najwyżej porozmawiać z panem jako ze zwykłym znajomym, o sprzyjaniu sobie (słowem „sprzyjać” określała pani Wirska erotyczną stronę swego stosunku z Herr Zdanowskim), o sprzyjaniu — powtarzam — więcej nie ma mowy.

— Ale on, — dowiadywałem się nowych szczegółów — jak tylko ma interes w Łodzi (pani Wirska, choć była już „Volks-deutsche” Łódź ciągle nazywała po staremu, a nie „Litzmannstadt”) zawsze choć na godzinę — wpada tutaj do dworu. Wtedy, choć się nawet modłę do św. Genowefy, żeby mi sił dodała w oporze, nie mogę jednak, nie mogę mu się oprzeć...

Przyznam się, że raczej spodziewałem się wcześniejszego zdobycia Sycylii, niż faktu, że gdy po dwutygodniowym głodowaniu w mieście znowu zrobię wypad na wieś, zastanę panią Wirska nieomal mężatką, bo nie tylko oficjalnie narzeczoną, ale już w zapowiedziach.

W ciągu półtorej godziny zdążyła zaledwie zapoznać mnie z ważniejszymi momentami zaszłych wydarzeń, poczem ciężko się poderwała i pobięła do narzeczonego, którego ujrzyliśmy z ogrodu, jak zajeżdżał przed ganek dworu.

Ta półtorej godziny trwająca i właściwie niezakończona rozmowa, była jednak zakończeniem moich towarzyskich kontaktów z panią Wirska.

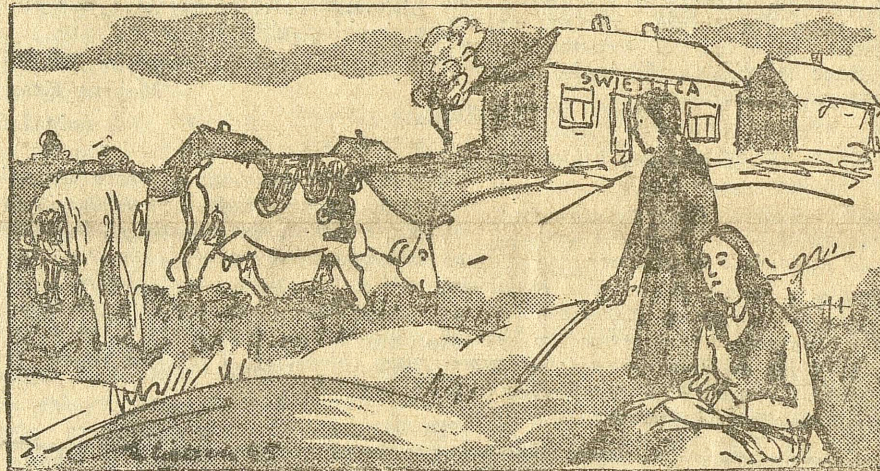
Rozumiałem bowiem jej skrupuły, a w żadnym wypadku nie chciałbym macie szczęścia kojarzącego się małżeńskiemu stadu.

Gdy sobie nieco później rozmyślałem nad tym, jakie jednak musiało być szalone tempo wydarzeń w ciągu stosunkowo tak krótkiego czasu, to mnie to — przyznam się — aż śmieszyło, bo mimowoli kojarzyło mi się wszystko z obrazami za szybko puszczanego filmu. Ale teraz daleki jestem od śmiechu, gdyż chodzi tu przecież o sprawy poważne, życiowe. Osądzicie to zresztą sami, gdy wydarzenia tych dwóch tygodni opowiem.

W dniu, kiedy wróciłem do Łodzi, przyjechał na wieś pana Jana bratanek, który pracował jako majster przedalniczy w jednej z łódzkich fabryk. Pan Zygmunt (tak miał na imię przybyły) niedomagał trochę na żołądek, to też symulując stan poważniejszy, uzyskał zwolnienie lekarskie z pracy na tydzień i po raz pierwszy od roku przyjechał do krewnych.

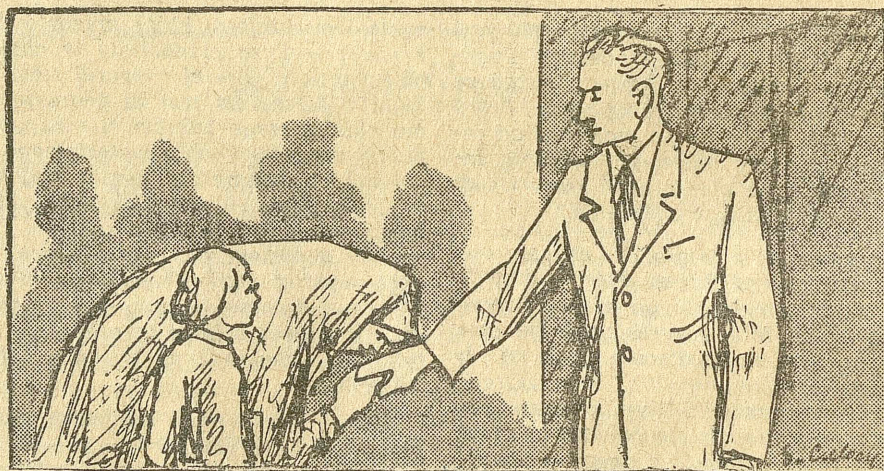
ZYCZENIA NOWOROCZNE
(Czego nie chcą pisarze chłopscy w Nowym Roku?)

JANINA SOBIESZEK: „EWKA I TERESA” (Nr. 21 „WSI”)



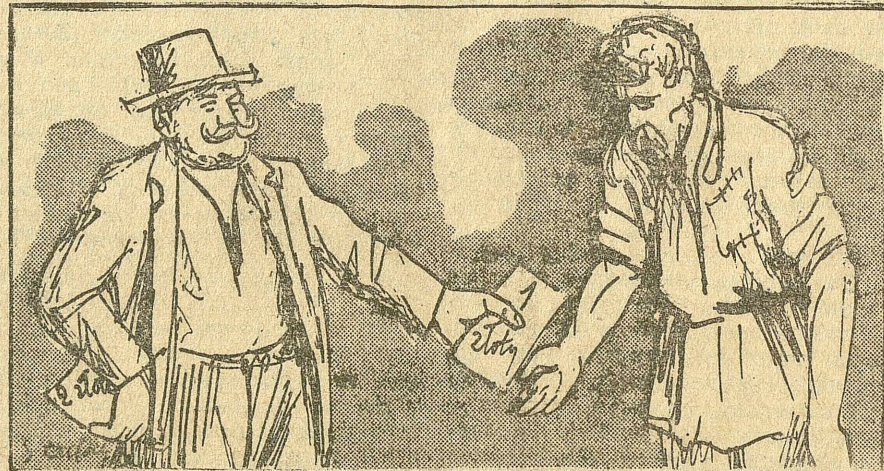
Aby pastwisko przestało być jedynym teatrem i szkołą życia dla dzieci wiejskich.

TEODOR GOŹDZIKIEWICZ: „MATKA” (Nr. 16 „WSI”)



Aby wysilek matek, które pragną dla swych dzieci lepszego losu i widza go, jakże słusznie w wykształceniu — nie siedł na marne!

JÓZEF POGAN: BIEDNY I „BOGATY” (Nr. 20 „WSI”).



Aby w imię historycznego obowiązku jednoliceń politycznego warstwy chłopskiej inny ukształtował się stosunek między bogatym a biednym chłopem

rys. St. Cieloch